



Warszawa d. 26 Listop. (8 Grud.) 1878.

N^o 49

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Rozbicie Stronnictw Liberalnych. I. — Makbet. Tragedia Szekspira. Studium literackie, J. Kotarbińskiego. — Społeczność Polska w angielskiej powieści. I. — Krytyka niemiecka o obrazie Matejki „Bitwa pod Grunwaldem. — Tankred. Romans Lorda Beaconsfielda. (Streszczenie). XII. — Indye wschodnie i Afganistan przez Fryderyka Hellwalda. (ciąg dalszy). — Synowie Szczęsnego. — Sprawa księdza A. Nosalskiego. — Kronika Paryzka. — Kronika Powszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości handlowe. — Do wszystkich. — Echa XLIX.

ROZBICIE Stronnictw Liberalnych.

I.

Czynne biura telegraficzne rozniosły na wszystkie strony Europy wiadomość o ogłoszeniu Berlina w stanie cywilnego oblężenia, na mocy którego to prawa kilka setek podejrzanych o socjalizm obywateli wydalonych zostało ze stołecznego miasta i okręgu. Żywe zaniepokojenie o środki dalszego utrzymania rodzin dotkniętych podobnym rozkazem policyi, jak również potworne wieści krążące w publice o wykryciu śladów spisku, o znalezieniu transportu bomb Orsiniego, o przygotowanych machinach zegarowych wybuchających — są to okoliczności nadające pewien charakter bieżącej chwili w stolicy nowożytnego Niemieckiego Cesarstwa, charakter którego by się trudno było domyśleć nazajutrz po Sadowie i Sedanie. Jeżeli do tych wypadków, występujących na pierwszym planie, dołączymy jako tło powszechną stagnację interesów handlowych i przemysłowych, zastój w spekulacji giełdowej, brak wszelkiej pewności jutra, będziemy mieli obraz szarym kirem powlekający stosunki berlińskie. Złe doszło tak daleko, iż podobne warsztaty przemysłowe jak zakłady Boersiga, z milionów zastąpiwszy na 450,000 marek rocznego obrotu, myślały zamknąć roboty i rozpuścić swych licznych pracowników. Jak zaś średnia klasa berlińczyków zachwiana jest w swym bycie, dowodem iż pożyczający tej warstwie lombard królewski, na 152,407 fantów pożyczyl 3,235,369 marek, sumę do której nigdy jeszcze wierzytelności tej instytucyi nie doszły. Echem tych stosunków, odnośnie do całego kraju, jest postawione rządowi przez centrum w nowo otwartym sejmie pruskim pytanie: jakie środki zamierza przedsięwziąć dla ukrócenia niszczącej ubogą ludność lichwy? Posłowie tego odcienia po odbytej krucyacie, głównie przeciwko żydowskiemu lichwiarstwu zwróconej, pragną się dowiedzieć, czy rząd gotów jest dla zaskłonięcia ludności od ostatecznego upadku, ograniczyć znowu stopę procentową, przywrócić nieobowiązalność prawną interesów lichwiarskich, zakrywających tego rodzaju czynności i ograniczyć wolność wystawiania we-

ksłów. Jako dowód iż obecne prawo wolnej stopy procentu i swobodnego kredytu w ekslowego głęboko naruszyło stosunki rozkładu kapitałów w społeczeństwie, przytaczają tę okoliczność: iż skoro niezmierną większość ludności codziennie ubożeje, kapitały gromadzą się w rękach niewielkiej liczby osób. Oczywiście to wykazuje stosunek między klasycznym i dochodowym podatkiem. Podatek dochodowy w Prusach płacą ci co mają wyżej 2,400 marek dochodu, reszta zaś ludności płaci podatek klasyczny. Otóż więc, według rozkładu na rok przyszły, na 25,675,938 mieszk. Prus płaci 25,066,732 podatek klasyczny, a 609,206 dochodowy. — Z tych ostatnich kasy państwa pobierają 31,638,044 marek, kiedy wszyscy inni, zatem 97³/₁₀₀ ludności tylko 42,182,275 marek płaci. Jeszcze w 1869 r. podatek dochodowy wynosił 14,790,000 m. a klasyczny 38,706,000.

Cyfry te, jakkolwiek nudne, są jednak konieczne jeżeli chcemy sobie uzmysłowić ten olbrzymi przewrót, jaki w rozkładzie bogactwa dokonany został w Prusach i prawdopodobnie w całym Niemczech. Kapitały te nie są nagromadzeniem szczęśliwych rezultatów bilansów handlowych, nie są wynikiem rozwoju przemysłu niemieckiego, ani też doskonałych stosunków rolniczych — gdyż Niemcy we wszystkich tych gałęziach gospodarstwa doznają zastoju i cierpią na anormalność. Skutkiem przemiany waluty na jednometalową złotą, handel Niemiec musiał się cofnąć z rynków posiadających walutę srebrną tańszą, a na rynkach posiadających walutę złotą nie może wytrzymać konkurencyi; to jest właściwa przyczyna ograniczenia niemieckiego handlu, że pominiemy nowe prawidła celne od strony Rosyi, bardzo dla tegoż niekorzystne. W tej samej przyczynie przemianowania waluty na jednometalową, co spowodowało podniesienie o 20% kosztów produkcji, trzeba szukać powodów upadku niemieckiego przemysłu, który począł fabrykować coraz gorzej i do reszty zniszczył zaufanie. Stagnacyja przedewszystkiem wpłynęła na drobne fabryczki i warsztaty pojedyncze, których właściciele bankrutując, przeszli w szeregi robotników fabrycznych i popadli w nędzne materialne położenie. Stosunki rolnictwa nie są lepsze. Rozwój kolei żelaznych z jednej strony, a olbrzymi spadek waluty rosyjskiej z drugiej, sprowadził na rynki niemieckie olbrzymie zapasy taniego zboża

rossyjskiego i mięsa produkowanego na naturalnych, a więc nie prawie niekosztujących pastwiskach; dotychczas targi środków żywności Niemiec wolne były od tej konkurencyi i rolnicze produkta miejscowe zaspokajały potrzeby, które powszechna niemiecka wstrzeźliwość i oszczędność, umiała na wodzy trzymać. Taniocią popuszczone cugle z jednej strony rozstroiły rolnictwo niemożące z zagranicznymi produktami konkurować co do ceny, z drugiej przy zwiększonej konsumcyi postawiły w stan zależny klasy uboższe. Zniżyły się więc dochody ludności rolniczej, zmniejszyła ta ludność pokup towarów przemysłowych i w całym społeczeństwie osłabły siły produkcyjne. — Doświadczenie zaś uczy, iż ludność mianowicie klas uboższych, nie odrazu jest w stanie się spozbrzedz i zredukować swe potrzeby, jeśli te na wyższą nastrojone skalę — ztąd jej upadek i zależność od kapitalistów, lichwa przez prawo niekrępowana rozwielmożnia się i przybiera rozmiary klęski społecznej, o której zawsze ostrzega zebranie bogactw w rękach małej cząstki, a ubóstwo ogółu.

Gdyby społeczeństwo znalazłszy się w takich okolicznościach, mogła być zostawiona naturalnemu rozwojowi, dośoby było kilku przechodnich ograniczeń, aby przywrócić jej ekonomiczne zdrowie. Lecz to nigdy miejsca nie ma, a stosunki bardziej są złożone i zagmatwane. Wiadomo np., iż zamierzony na rok przyszły budżet Niemieckiego cesarstwa wykazuje przeszło sto ośm milionów marek deficytu. Rząd naturalnie dla zrównoważenia budżetu, będzie się starał nietyle sięgnąć do źródeł bezpośrednich podatkowych, bardzo już wyciągniętych, ile do źródeł wygodniejszych pośrednich, jakimi są cła i podatek od tytoniu w formie radykalnej, to jest: tabacznego monopolu. Czy monopol tytoniowy, o którym tyle się w Europie mówi teraz, będzie w Niemczech zastosowany czy nie, rzecz to podrzędnej wagi. Niemcy mogą mieć bardzo wiele do powiedzenia przeciwko niemu i to nie z jednego względu; podobna forma podatku inauguruje znowu erę, która się zdawała przebrzmiałą i świadczy o reakcyi w ekonomicznych poglądach; na bogactwo narodowe, na przemysł dobrze nie oddziała i zmusza społeczność do używania złego produktu po wysokiej cenie. — Lecz koniec końców w stosunkach ogólnych kwestya to mniejszej wagi,

a chociaż partie postępowe w Niemczech będą kruszyć kopie w widokach teorii lub przypodobania się ludności ómiającej tytuł — wprowadzenie monopolu tabacznego w Germanii w niczem na stosunki kraju, sąsiadów oraz na polityczne położenie partyj w Niemczech i całej Europie nie oddziała. Rzecz inna co do polityki celnej. Dotąd mało jeszcze zwracano uwagi na stosunek jaki zachodzi między polityką celną a warunkami, w których się znajduje społeczność ludzka. Dopiero zwolennicy wolnego handlu a jednocześnie i tak zwanej ligi wiecznego pokoju, wyświecili kwestyę w bardziej stanowczy sposób. W jednym z dzienników włoskich, w Bolońskiej *Patria*, pomieszczony był niedawno ciekawy list Johna Brighta, znanego poplecznika szkoły Manchesterkiej, do jednego z prezydentów odbywającego się tamże kongresu pokoju. Oto mniej więcej co pisze anglik: „Oplakanem jest położenie Europy w obecnej chwili; narody jej upadają pod brzemieniem olbrzymich armij i równie olbrzymich budżetów. Jednocześnie rozdzielone są w interesach i uczuciach taryfami będącemi bezpośrednią przeskodą zbliżenia się państw i ludów, gdyż naruszającemi tę wzajemność interesów, która jedynie może je zabezpieczyć od zobopólnych wojen. Jakim sposobem można uniknąć ciągłych wojen i rozpuścić olbrzymie armie? Oto jest pytanie ważne dla całej Europy i dla każdego narodu. Według mnie prosta droga do tego celu leży w systemie wolnego handlu między narodami świata. Monopole w handlu, wysokie taryfy, pomoc handlowym warstwom na rachunek społeczeństwa i spożywców — są to sprzymierzeńcy zbyt wielkich armij, wrogowie wiecznego pokoju w Europie. Usunięcie taryfy, lub skrócenie je znacznie, a ujrzenie znikającymi powody, dla których państwa zmuszone są utrzymywać wielkie wojska. Z rozpuszczeniem wielkich armij i usunięciem wysokich taryf celnych, liczę na pokój i braterstwo narodów. Powinniśmy wszędzie oświecać ogólną opinię iż system protekcyjny, system wysokich cel i monopolów, które pewne klasy utrzymują, są to najgłówniejsze przyczyny podtrzymujące istnienie wielkich armij, prowadzących do nieskończonych wojen. — Gdyby idea ta zyskała panowanie w Europie, dożylibyśmy ery, w której zbyt wielkie armie nie będą uważane jako konieczność, a taryfy wysokie poczytane zostaną za wy-

kroczenie przeciwko bogactwu ogólnemu”.

Jakkolwiek wyrazy te mogą kryć w sobie wiele przesady i odznaczać się optymizmem, niepodobna zaprzeczyć iż wielkie budżeta, wywołane wielkimi armiami, podtrzymują się w ogromnej mierze systemem celnym. System ten zaś leży zawsze w programie partyj konserwatywnych i liczy tym większych zwolenników, im odcień zbliża się bardziej do reakcyi. Dziś już tak z zachowania się różnych stronnictw parlamentarnych w Prusach, jak z niedawnych rozpraw sejmiku postępowców berlińskich, widocznym jest przyszły ruch ekonomiczny. Pewną jest rzeczą iż utworzył się związek, który podpisało stronnictwo środka, obie grupy konserwatystów i jedna trzecia narodowców, a mający na celu przeciwdziałanie dotychczasowej polityce wolno-handlowej. Zmiany w tym względzie są nader prawdopodobne — i naturalnie odbywać się będą pod hasłem „dobra ogółu”. Dla wydobycia niemieckiego rolnictwa z trudnej pozycyi, nałożenie cła na zboże nie należy wcale do niepodobieństw. Niektóre gazety warszawskie, podając to prawdopodobieństwo dla przypodobania się obywatelom wiejskim w wątpliwą, nie postępują rozważnie lub sumiennie. Owszem, trzeba się tego spodziewać; już przy niedoszłych układach o traktat handlowy z Austrią, Niemcy grozili cłem na produkta rolnicze i wino — a cło takie musiałyby być zastosowane do innych państw. Ileby w szczególności na tem stracił nasz handel zbożowy i handel Galicyi, trudno jeszcze wyrokować, ale że zyskałaby własność ziemska w Poznańskiem, to pewne. Bądź jak bądź, rząd księcia Bismarka w interesie wyrównania deficytu i podtrzymania obecnego składu rzeczy, silnie popierać będzie dążenia przeciw wolnemu handlowi. — Ma on jeszcze w tym względzie i inne cele, które się także łączą ze znaną operacją rządu niemieckiego, dążącego do nabycia kolei żelaznych na rzecz skarbu. W części idzie rządowi o ześrodkowanie w swym reku środków komunikacyjnych w interesach wojskowych, ale układanie taryf kolejowych, stosownie do zachowania się względem ministerium różnych prowincyj i warstw narodu, myśli kanderza nie jest obcem. Do tego samego celu w przyszłości posłużą i taryfy celne, któremi będzie można robić nacisk na różne partye parlamentarne. Lecz z tem rząd się nie spieszy, deficyt roku przy-

szłego pokryje pożyczka, a książę Bismark jeszcze się zdaje nie namyślił, z którą partyą zawrzeć mu sojusz będzie najwygodniejszą i najtaniej. Dotąd, jak wiadomo, książę się opierał na partyi narodowców, która w niej naturalnem dla siebie przymierzu z konserwatystami doszła aż do uchwalenia praw wyjątkowych. Lecz czy na polu ekonomicznem okaże się równie powolną? Gdyby sądzić tę partyę ze słów, możnaby mniemać iż sprzeciwi się polityce ekonomicznej Bismarka. Szkoda tylko, że rozbitcie partyj w Niemczech jest prawie powszechne i ogólne. Z wyjątkiem środka i konserwatystów, których dzieli polityka kościelna i kulturkampf, z wyjątkiem polaków udzielne zatrzymujących stanowisko, nikt w Niemczech nie wie naprawdę czego chce, gdzie idzie i gdzie dojdzie. Narodowi i postępowi dzieli się na tyle odcieni, na tyle frakcyj, ilu jest wybitniejszych członków sejmku i jedynie tylko wspólne im jest służalstwo względem Żelaznego księcia. Cóż więc dziwnego iż przy takim rozbitciu koła poselskiego, wyborcy odwracają się od partyj liberalnych? Liberalizm niemiecki nigdy nie odgrywał świetnej roli w życiu narodu niemieckiego, nigdy on nie umiał postawić sobie praktycznego ideału, który jest tylko konsekwencją obowiązku. Ale też nigdy nie upadł tak nisko, jak obecnie, nigdy nie przedstawiał między zasadą a czynem większego rozbrajania. A kto na tem korzysta? W małej części reakcyi, w większej socyalizm. Byłoby istotnem złudzeniem sądzić, iż prawa wyjątkowe już osiągnęły skutki, jeżeli osiągnąć je kiedykolwiek będą mogły.

Zaznaczone na wstępie artykułu wypadki, będące konsekwencją niedawnej przeszłości, najwyraźniej przemawiają za naszą uwagą. Wszystkiemu zaś temu głównie winno stronnictwo liberalne niemieckie, które zagubiwszy ideał obowiązku, straciwszy samo wiarę w własne zasady i sponiewierawszy to co w stronnictwach stanowi siłę i godność, cnotę reprezentantów ludu, dziś przedstawia smutny obraz ogólnego rozbitcia. Trzeba to wiedzieć i trzeba o tem surowo powiedzieć, gdyż nie może być obojętnym dla ludzkości stan tego stronnictwa, które miało ją odrodzić, oraz skutki jakie z jego rozbitcia i przeniewierzenia się zasadom wynikły; wzrost reakcyi, moralne i materyalne ubóstwo, a co główny nienaturalny wzrost socyalnej demagogii — zaiste rzecz mało po-

ECHA WARSZAWSKIE.

XLIX.

Kilka razy już odzywaliśmy się w interesie ubogiej młodzieży uczęszczającej na kursa szkoły weterynaryjnej. Położenie jej, mówiąc sumiennie, jest daleko trudniejsze niż położenie studentów uniwersytetu, którzy już to dzięki stanowisku zakładu, już też naturze stosunków — łatwiej mogą i znajdują zajęcie, czy to na drodze korrepetycyj, czy przekładów dla różnych redakcyj i t. d. Tymczasem uczeń weterynaryi ma wobec takiej konkurencyi, nie bez pewnej słuszności drogi zamknięte, a przecież zawód jego zasługuje ze wszech miar na pomoc ze strony społecznej. Nadarza się właśnie sposobność przyniesienia pomocy czynnem i stwierdzenia naszej solidarności z każdą pracującą uczciwie i do posług krajowych sposobną młodzieżą. W dniu 15 grudnia odbędzie się pod przewodnictwem dyrektora Münchheimera koncert, dochód z którego przeznaczony jest na udzielenie wsparcia uczniom weterynaryi tym, których położenie istotnie na taką pomoc zasługuje. Nie pisząc zbyt wielu frazesów, pewni że to cośmy powiedzieli w krótkości trafi do

przekonania ogółu, możemy się spodziewać iż publiczność licznie odwiedzi tę uroczystość improwizowaną. Publiczność zaś niemiejskowa, obywatele wiejscy, dla których majątku rozwój weterynaryi obojętnym być nie może, winniby drogą składek na rzecz organizujących koncert nadsyłanych przystąpić do tego dobrze zrozumianego aktu wsparcia pożytecznych zamiarów.

Onego czasu w ubiorze Kalchasa, wyszedł na niwę peryodycznej prasy *Przeгляд Katolicki* i ujrzał że zgroza Woltera i Russa wstydliwie ukrytych... w *Bluszczu*. Hola mości panowie! że tacy „niegodziwcy” jak Wolter i Russo chwaleni są w *Przeглядzie Tygodniowym* — to mniejsza, boć *Przeглядowi* jako „otwartemu wrogowi naszego Zbawiciela (!) jako zawziętemu nieprzyjacielowi kościoła, a w szerszych swych momentach zupełnie ateuszowi” — wolno to — ale w *Bluszczu*... o mores! *Przeгляд* ozytają „nieszczęśliwi których nie nie zgorszy” i zresztą... mężczyźni — pal ich więc sześć, ale *Bluszcz* konsumują „spódniczki” a od tych mości panowie chwalcący ohydny postać (!) Woltera i Russa, zdaleka i wara! — bo na nich spoczywa potęga sutanny i runie, skoro tylko pleć piękna jadem niegodziwości i zbydlęcenia „zarażoną” zostanie. Pójdźno tu panie S. K. — wilku w owczej skórze, gorszy „niż ów nau-

czyciel geografii, który kursa dla młodych pańien rozpoczął od wykładu akuszerji” — pójdźno tu i ty redaktorko anielska *Bluszczu*, wytłumaczcie się czyście rozmyslnie i przytomnie, czy bezwiednie popełnili taką herezyę. A czy wy wiecie co was za to czeka? Oto nietylko zostaniecie porządnie przetrzepani i „zwymyślani” ale jeszcze cofnę wam eksekwatur i pasterskim okólnikiem polecę, aby nigdzie nie prenumerowano *Bluszczu*, pod karą potępienia duszy w tem i przyszłym życiu. Co wy sobie myśleliście, że ja *Przeгляд Katolicki* będę znosił jak wy w piśmie kobiecem ultramontańskiem będziecie śpiewać kantyczki „prozaiczne, zresztą i przepelnione komunalami, frazesami banalno-dźwięcznymi i nonsensami” na cześć postępu — he? To wy „syny zdradliwe” sześćdziesięcioletnią demoniczną walkę Woltera przeciwko nam nazywacie „rzeczywistem dobrodziejstwem dla ludzkości”, a fałsz w jego dziełach „promieniowaniem filozofii zdrowego życia ziemskiego” i cieszycie się że ten bezbożnik umarł „nie przejednanym wrogiem kościoła?” A Russa, Russa, który „żył z Teresą... aż do śmierci w zgodzie” a mimo to „jako człowiek coraz cnotliwszy” „potrzebując mieć dwie dusze w jednym ciecie” „rozgorzał wielką miłością dla pani d’Hautetot” — stawiacie jako „model cnoty” — he? Oj! oj! będzie z wami

cieszająca, tem więcej, że stan taki stwierdza obraz położenia w innych krajach Europy i w Ameryce, jak to w następnym artykule zobaczymy.

MAKBET.

Tragedya Szekspira w pięciu aktach.

STUDIUM LITERACKIE
J. Kotarbińskiego.

Legenda, ta fantastyczna córa zamierchłej przeszłości, może być porównana do poetycznej mgławicy, co w swem łonie tajemnym kryje jądro prawdy dziejowej, której wiernego oblicza nie przekazała nam samowiedza późniejszych pokoleń. Jest ona wynikiem młodocianej fantazyi społeczeństw, która cofając się myślą w ubiegłą dobę swych pierwocin dziejowych, potęguje błędne wspomnienia, chwytając ulotne echo tradycyi i odtwarza je w kształtach wykraczających bujnie po nad miarę rzeczywistości.

Psychologiczną przyczynę cudowności legendy łatwo pojmiemy na podstawie działania owej ruchliwej, wrażliwej wyobraźni, która w młodzieńczej dobie istnienia ludów tak mało jest kontrolowaną przez dojrzałą wiedzę rzeczy i na podstawie wrodzonego idealizmu ludzkiej natury, od tyłu wieków z próżnym wysiłkiem szukającego rozwiązania zagadek swego bytu po za krańcami ziemskiego istnienia. Mimo to jednak oko dziejowego badacza, przenikając mroki fantastyczne, w tych wybujałych kształtach dostrzeże odblask życia pewnej doby cywilizacyjnej, wśród mętnych obrazów poetycznej uludy uchwyci tu i owdzie rozproszone rysy zanikłej rzeczywistości.

Typowe w tej mierze znaczenie mają stare legendy greckie, pełne ponurej, fatalistycznej grozy, w których geniusz Hellady tak plastycznie wyraził pierwotną walkę człowieka ze ślepiemi siłami przyrody, oraz ową szorstką epokę rozwoju społecznego, w której brutalna siła namiętności układała się powoli w karby moralnego porządku, a cywilizacja i kultura odniosły dopiero pierwsze tryumfy nad zwierzęcą i demoniczną stroną natury człowieczej. Z owej do epoki, z krynicy tych wspomnień prastarych, poezya czerpie wspaniałe arcytypy pierwotnej, wybujałej siły człowieczej, owe postacie półbogów i bohaterów, wyrastających po nad

przyrodzoną miarę, a raczej skupiających w sobie w niezwykłych kształtach i natężeniu potęgę woli i namiętności. W poezyi szekspirowskiej, obejmującej taki bogaty horyzont ludzkiego życia, legenda znajduje także wspaniałe odbicie, chociaż nie jest jedynym źródłem, zasilającym jej żywotność, jak to widzimy w starohelleńskiej tragedyi. W *Makbecie* i *Królu Learze* poeta stał się głównie dłużnikiem tradycyi wykolysanej na swej rodzinnej ziemi, w *Hamlecie* zaś także odzwierciedlił inne podanie, zrodzone pod mglistym niebem północy. Żyjąc w epoce dojrzałej już pod wieloma względami i bogato rozwiniętej cywilizacji, Szekspir nie był w tych tragediach bezwzględnie wiernym starym podaniom, które przeszły do niego z pomników dziejowych a nie z żywego słowa ustnej lub religijnej tradycyi. Nie są one dla jego fantazyi główną siłą ożywczą, ale raczej zarodkiem tylko, który rozwija się dzięki samodzielnej pracy twórczości w poetyczną całość, tchnącą pełnią bogatego i różnorodnego życia. Porównawszy naprzykład treść *Makbeta* z podaniem zapisanem w kronice Holinsheda¹⁾, możemy się przekonać jak twórczość poety w swym wspaniałym rozwoju, opierając się na skąpej kronikarskiej wzmiance, podniosła do wysokiej poetycznej wartości główne jej dane, jak swobodnie poczyniła sobie z kształtowaniem legendowej treści, streszczając w zwartą całość gwałtownie i szybko rozwijającą się tragedyi, dzieje siedemnastoletnich rządów szkockiego tyra.

Wierny w zasadzie głównym rysom opowieści poety, kształtując bogatą i potężną treść psychiczną swego utworu, szedł za głosem własnej tajemniczej fantazyi, owej siły tajemniczej, która wedle słów Juliusza, szepcze do ucha poecie nieusłyszane dotąd wyrazy.

Rozpatrywany sam w sobie *Makbet*, podobnie jak wszystkie celniejsze arcydzieła Szekspira, jest odrębnym, zamkniętym w sobie światem, zaklętym do wiecznego życia przez nieśmiertelną moc poezyi. Czytając tę tragedję, możemy zapomnieć o legendzie tak samo, jak na widok wspaniałego dębu zapominamy o drobnem nasieniu, któremu wpinien swój początek. Mimo to jednak poe-

¹⁾ Podanie to w przekładzie przytacza Kraszewski w przedmowie do *Makbeta*, pomieszczonej w zbiorowym wydaniu dramatów Szekspira.

ta, przenosząc się fantazyą w odległą przeszłość Szkocyi, stworzył z własnej fantazyi świat napół-legendowy, z jednej strony owiany posępnym zmrokiem i cudownością starożytnego pogańskiej tradycyi, z drugiej znowu strony rozświetlony już promieniami nowego cywilizacyjnego światła.

Szekspir wierny swej zasadzie, że sztuka winna być zwierciadłem wieku, stworzył w tej tragedyi odrębną społeczną i moralną atmosferę, nadał jej właściwy ponury a malowniczy koloryt. Posępna a poważna przyroda północy stanowi tło poetycznego obrazu; jest ona zarazem ponurą i piękną, dostarcza wyobraźni obrazów dzikich i wspaniałych, tembardziej, że w patryarchalnych owych czasach zachowała w sobie jeszcze wiele nietkniętej ludzkiej dłonią dziewiczości.

W tej górzystej, nadmorskiej krainie słońca ciągle zasępia pogodę nieba, burze szaleją wściekle, brzemienne gromami, a od uderzenia orkanów „ziemia trzęsie się jak w febrze”. Te wrażenia posępne i groźne żywo odbijają się w wyobraźni działaczy dramatu i widoczne są we wszystkich obrazach poetycznych, poczerpniętych z widoku natury i stanowiących tło dla najbardziej ponurych scen tragedyi. W miejscach, gdzie ta groźna siła natury ustępuje pogodnej ciszy i piękności, poeta wskazuje też wyraźnie siedzibę wybrańców losu, a widok pogodnego uroku przyrody pokonanej przez człowieka, czyni swym kontrastem niemalże wrażenie na twardych a szorstkich synach górskiej krainy, jak to widzimy w synclonym opisie zamku Makbeta w Inwerness, którego pięknocią zachwyca się łagodny mądry i szlachetny Banko. Chociaż poeta nie używa prawie zewnętrznej charakterystyki rasowej albo lokalnej, uwydatniając głębsze właściwości charakteru i temperamentu, jednakże baczniejszy czytelnik spostrzeże łatwo że tragedia dzieje się wśród atmosfery plemiennej i społecznej posiadającej swą własną odrębność. Nie ma tu gwałtownych, zapalczywych i uczuciowych postaci Romea i Julii, albo Otella, niema romantycznego zaru południowych namiętności, niema krzykliwej demagogii ani twardej możnowładczej buty mieszkańców starej Romy w „Kory olanie” ani nareszcie demonicznej siły i szorstkiego rozruchania namiętności starodawnych Brytów w „Królu Learze”. Widzimy natomiast szorstki wojowniczy, jeszcze trochę dziki ale szla-

krucho. Odpowiedzcie więc teraz stanowczo, mianowicie ty promienna redakcyo *Bluszczu*, rzeknij: solidaryzujesz się z belzebubowemi pojęciami p. S. K. o „filozofii zdrowego życia”, wierzysz w „czystą religię serca” podług „najdoskonalszej autonomii indywidualnego człowieka” — czy też wyrzekniesz się grzechu nieczystości myśli, sprośności chęci i wyznajesz słabość twej woli — he? Ciekawi jesteśmy co na takie dictum acerbum powie anielski *Bluszcz*, a odpowiedzieć nie przelewiki, boć nowy rok za pasem i odebranie eksekwatur, utrata połowy abonentów, brum, brum! Oczekując z zajęciem rozwiązania tej sprawy, musimy odpowiedzieć też słówko *Przeglądowi Katolickiemu* od siebie. Szlachetny Kalhasie prasy naszej, jesteście wrogami ludzi którzy nadużywając nazwiska Chrystusa, w imię jego chcą gasić światło na ziemi, gwałcić sumienia luną świętych auto-da-fe, kłamać rozsądkowi, ścigać wszelki postęp, ograniczać myśl swobodną, przesładować dla własnych materialnych interesów wszystko co im przeczy i opór stawia — tak, jesteście wrogami. Ale Chrystusa do łona przygarniającego maluczkich, nauczającego ciemnych, przebaczącego nieprzyjaciółom, na krzyżu rozpiętego za prawdę słów swoich i umierającego jeden za miliony — czcimy i czcić zawsze będziemy! — Dixi.

Rodem kokoszki czubate... szkoda tylko że czubki coraz mniejsze. W Galicyi urodził się z poetycznego gniazda hrabiów Fredrów, nowy wieszcz hrabia Andrzej, nie wahający się wystąpić ze swym utworem na publicznym wieczorze na cześć Mickiewicza. Jako siłę tego talentu przytaczamy następujące strofki poświęcone pamięci naszego Adama:

„I na wieść o nim my nie wiemy sami
Czy westchnąć z żalu (!) nad wieszczą mogiłą,
Czy też z radości (?) wspominać go Izami,
Bo to tych orłów wspominać tak miło.

Tak, miło wspominać takiego człowieka,
Który z polskiego urodzony łona,
Którego (łona?) dawno zwarła się powieka (?)
A głos którego przez wieki nie skona.

Lecz Adam nigdy nie pragnął boleści
Obudzać w łonie swojego narodu,
On uszczęśliwić chce go swemi wieści,
By naród jego sięgnął do sławy grodu.”

No... ładne i radosne, a szczególnie poezya godna publicznego hołdu największemu z wieszczów naszych! Ale się to drukuje nawet i chwali bo... umitrowane!...

Mówiąc o niefortunnej poezyi musimy dodać, iż młodzież krakowska urządzająca corocznie Mickiewiczowską uroczystość,

z większym powodzeniem wystąpiła choralnie odśpiewawszy wyborną *Pieśń Filaretów*. Dowiodło to, iż chór akademicki pod dyrykcją p. Barabasza, powiódł się i nawet ma przyszłość... muzykalną. Jakkolwiek utworzenie podobnego chóru jest pomysłem niemieckim, warto go jednak naśladować choćby nawet i w Warszawie. Gdyby tak np. gromadnie zapisano się na lekcye śpiewu choralnego urządzony w Towarzystwie Muzycznym, możnaby z akademików utworzyć osobną sekcję chóru męskiego. Zużycie czasu niewielkie, studjom nie przeszkodzi, a powadze niczyjej to nie ubliży. Muzyka jest sztuką podniosłą, o jej wpływie dla akademików jako ludzi wykształconych rozpisywać się nie ma potrzeby, ale że projekt wart urzeczywistnienia — to pewno, tym więcej że sprzyjają warunki, a nie na przeszkodzie nie stoi.

Wprężnięta w służbę arystokratyczno-ultramontańskich panów szlachetna *Niwa*, celem przyłazzenia się swym chlebobawcom, używa wszystkich środków i sposobików, które jej tradycya czepiania się pańskiej klamki przekazała. W tym celu postanowiła zebrać i ogłosić listę swych prenumeratorów! W każdym razie, jeśli to kri-kri nie nowe, to zastosowanie jego do naszej prasy świeże. Wprawdzie niektóre

chetny i patryjarchalny lud górali. Prostota charakteru społecznego maluje się dosadnie w jędrnym, malowniczym stylu, pełnym siły, a pozbawionym wszelkich subtelnosci, w prostej a dosadnej formie wyrażania uczuć i namiętności. Duch wojowniczy łączy rycerskość z okrucieństwem posępnem, a język bojowy brzmi głosem chwały lub piorunującej, bezwzględnej nienawiści dla wrogów. Namiętności ujemne przybierają charakter szorstkiej, zbrodniczej siły, objawiają się w jawnych gwałtach, grabieżach i mordach, noszą na sobie piętno barbarzyństwa, ale nie mają wyrafinowanego okrucieństwa, jakie widzimy w dramatach Szekspira osnutych na tle wojen Białej i Czerwonej róży. Dodatkowo postacie dramatu nacechowane są odcieniem szczerzej prostoty, niekiedy nawet miękkiej łagodności, która nie wyłącza bynajmniej wojaczkiej energii. Cnoty i zbrodnie jak zwykle w pierwotnej dobie rozwoju cywilizacyjnego przedstawiają się w kształtach dosadnych, wyraźnych, bez subtelniejszych i wyrafinowanych odcieni. W dziedzinie pojęć moralnych najsilniejszym językiem przemawia miłość kraju oraz przywiązanie do prawej władzy, ów szczerze narodowy legitymizm, znany dobrze z dziejów szkockiej ziemi. Pojęcia religijne chrystyanizmu wycisnęły już swe wyraźne piętno na umysłach, chociaż mieszają się z nimi starodawne wyobrażenia pogańskie. Idea jednego Boga w jego najwyższej sprawiedliwości, występuje żywo w krytycznych chwilach losu, pojęcie aniołów i szatanów, wiecznego potępienia, obrazy piekła i ostatecznego sądu utwierdziły się już mocno w umysłach prostego ludu. Mimo to jednak łagodniejsze maksymy chrystyanizmu nieweszły jeszcze w krew społeczną, idea miłości i przebaczenia nieznaną jest tym synom północy, a pogańska część zemsty nie traciła jeszcze swej religijnej godności. Krew woła o krew, a zemsta za morderstwo jest obowiązkiem moralnym osób najbliższych krwią i sercem zabitych ofiar, których mściwe duchy wedle pojęcia najszlachetniejszej figury dramatu, grożą przesładowaniem w razie niespełnienia tej świętej powinności. (D. c. n.).

SPOŁECZNOŚĆ POLSKA

W ANGIELSKIEJ POWIEŚCI.

(Mansfield: „A latter day novel” [Z ostatnich dni]. Londyn 1878 r. Cena 24 rs.).

I.

Upadają państwa i narody, tem łatwiej upadają magnackie rodziny i fortuny. Więc niema w tem nic dziwnego, iż hrabiom Krapskim ze wspaniałego dziedzictwa antenatów jedyna została wioska Radzymin. Olbrzymia fortuna rozproszyła się częścią w usługach krajowych, częścią w nierządzie możnowładcom właściwym—bo dzieje tej rodziny ścisłym węzłem splatały się z historią kraju. Protoplasta Witold Krapski zwany „żelazną dłonią” pod Grunwaldem z Jagiellą grzmocił krzyżaki; Bolesław Krapski arcybiskup Gnieźnieński dyplomata, trzymał na śniegu u drzwi posłów margrabię Brandeburskiego, przodka dzisiejszych cesarzów niemieckich, niechcąc sobie przerywać partyi szachów; Józef Krapski towarzyszył Sobieskiemu pod Wiedeń i miał pod sobą w walce z pohańcem trzy konie ubite, za co od cesarza Leopolda otrzymał łańcuch Złotego runa. Wojciech Krapski wielki miłośnik obrazów i rękopisów, podzielał wszystkie hulanki Augusta Mocnego, a Tomasz towarzyszył królowi Leszczyńskiemu do Nancy i część życia spędził w Wersalu, uszedł jednak gilotyny, a umarł w Rzymie dokąd udał się w orszaku starych ciotek Ludwika XVI. Hrabina Zofia Krapaska faworyta króla Stanisława Augusta, wygnana została do Krakowa i tam umarła z żalu, polecając aby ją pochowano w perłach, które otrzymała na pamiątkę od króla.—Brat jej zginął pod Pragę, a nareszcie hr. Zygmunt Krapski, dziad żyjący, nie odrodził się od przodków i w krajowych zwikłaniach bez winy utracił majątek. Mniej już udał mu się syn, a ojciec bohatera powieści. Bawiąc na kuracyi po dość hulaszczem życiu, poznał on się z rodziną angielską i w Dreźnie zaślubił bladwłosą miss.—Owoce skrzyżowanej rasy był mały Walerian; lecz dziecię nie dało szczęścia rodzicom, zbyt sprzecznym charakterami i usposobieniem.—Hrabia namiętnie grał w karty i niemniej namiętnie zaglądał do kieliszka—jak zresztą cała w tej epoce młodzież „lepszego urodzenia”. Prowadziło to naturalnie do nieporządków i długów, które w oczach

angielskiego powieściopisarza wyrastają na pierwszorzędną wadę.—„Zaledwo pszenicę zasiał, już posyłał do żyda, wyprzedzał zniwa kosztem ofiar, a zgarnawszy pieniądze, wynosił się do Warszawy nie zostawiając i grosza na codzienne wydatki. Na wieś wracał jedynie dla zaciągnięcia nowych na hypotekę długów, tak że niewielki majątek rychło został zrujnowany pożyczkami, a posag żony ledwo starczył na oddalenie ostatecznej katastrofy.”

Waleriek przepędził młodość na wsi w Radzyminie, w starym drewnianym pobielanym dworze, o spruchniałej doryckiej na prozdzie kolumnadzie. Spędzał zaś swe dzieciństwo, jak większa część polskich szlacheckich dzieci: opuszczony, na łasce służby, w towarzystwie wieśniaków. „Walery często chodził do lasu na grzyby wraz z wiejskimi dziećmi, które go zwały „Małym wojewodą”, darzyły najlepszymi borownikami, przynosiły wykręcione przez się gniazda, strugały fujarki wierzbowe i całowały w kolana (?), gdy raczył się z nimi podzielić podwieczorkiem.”—Jedyną starszą przyjaciółką i ochmistrynią Walerka była pani Florentyna—typ rezydentki. „Pani Florentyna niemłoda i uboga wdowa zarządzała domem, trudniła się wychowaniem chłopczyka, wysługiwała jego matce. Tę ostatnią rzadko widywał mały Waleriek, a p. Florentyna ciągle go strofowała, aby nie hałasował, gdy się znalazł w pokoju matki. Największą też radością było dla niego jechać do kościoła trzęsącą bryczką, zaprzęzoną czterma folwarcznymi końmi, które przez resztę tygodnia pracowały w roli, a które teraz długim batem zaciął Seweryn fornal; albo gdy w zimie, ciepło w kuzusku otulony wyjeżdżał sankami na przeciw ojca, kiedy ten z Warszawy powracał.”

Autor tę jednostajność życia i zaniedbanie dziecka przeciwstawia staranności wychowania, jakie młode pokolenie odbiera w Anglii; tak jak nasz nieporządek, niedbałość, rzucenie się w oczy wobec komfortu i czystości angielskiej.—Z tych ujemnych pierwiastków, wcześniej zasiewanych w usposobieniach narodu, powstają nasze wady—przymioty, według autora, płyną z historycznych tradycy. —Na usposobienie Walerka, przeważny wpływ wywiera sędziwa para: dziad hr. Zygmunt Krapski i jego siostra pani Gabryela Stankiewicz.—„Podczas dorocznych odwiedzin, nie mały ruch pano-

dzienniki zagraniczne dołączają w końcu roku wykaz statystyczny swych abonentów wraz z ich rozłożeniem—ale liczebny, nie imienny. Wykaz imienny przedewszystkiem bowiem pachnie chęcią popisu, nie prowadząc do niczego. *Niwa* usprawiedliwia swój krok życzeniem, aby jej abonenci „którzy wraz z redakcją, tworzą umysłową spółkę o wspólnym kapitale” mogli się poznać osobiście „choćby z nazwiska”. Jaka dbałość o stosunki towarzyskie i o statystykę! Ze ktoś reklamuje się jako umie i może—za złe mu tego nie bierzemy, ale tak sobie wskazujemy „bredząc obiektywnie”, iż *Niwa* zdobyła środek zużyty nawet przez najlichszych pieczeniary literackich, łapiących abonentów na chwałę prenumeracyjnej listy. Mamy więc nadzieję, że idąc po tej drodze, w roku następnym, każdemu abonentowi dostanie się egzemplarz z dedykacją drukowaną złotem literami i kwitem na całoroczny abonament na rok przyszły. Czy tylko rada nasza nie przychodzi już za późno i czy myśl nie została już wykonaną?

Zebrawszy cztery klepki po stracie piątej, kwadracik w *Gazecie Polskiej* nastaje na prasę naszą, aby się co prędzej wyrzekła sprawozdań z kronik kryminalnych. Jest to w duchu tego słodkiego kwietyzmu, który pragnie umysł ludzki skierować ku lazuro-

wym wyłącznie niebiosom, wołę urabiać jedynie na dodatnich przykładach cnoty, a zamknąć oczy na wszystko co ujemne strony życia stanowi. Gdyby to życie było poematem, system taki istotnie byłby doskonały—lecz skoro istność rozbija się o codzienne stosunki, dla rzeczywistego uwydatnienia faktów obok dobrych wskazać i złe strony, obok światłych i cienie obrazu trzeba. Cieniem takim są właśnie wielkie kryminalne procesa i posiadać one będą zawsze głęboką naukę, której nie można przed społecznością zamknąć. Naturalnie nie idzie tu o rozwłóczenie przed oczyma ogółu bezmyślnych brudów, lub zwyczajnych zbrodni bezpotrzebnie. Niewiemy doprawdy na co by się naszym czytelnikom przydał obszerny opis procesu Tkinta, Małgorzaty Jujean, Bezobrazowa i t. d.; ale każdy przyzna iż proces p. Gułak-Artemowskiej zawierał cenne wskazówki stanu pewnych warstw społecznych i mógł poprowadzić na poważne rozmyślanie wiele „much” już oplątanych w „pajęczce sieci” praktykujących pań Gułak-Artemowskich. Zaprzestanie zupełne sprawozdań z kronik kryminalnych, o które gardluje p. Kwadracik, zapewne uczyni bardziej jeszcze liljowo mdłą naszą prasę, ale nie naprawi ani na włos naszego społeczeństwa, tak jak roztropnie pisane kroniki zgorszyć go nie mogą. Chlebem nadmiernie

użytym można się otruć, arsenikiem w stosownej dozie wyleczyć. Wszystko to są bowiem pojęcia i okoliczności względne. Lecz takie gwałtowne nastawanie na rzecz potrzebną, często pożyteczną bardzo, w widokach pseudo-moralnych i radosne doniesienia iż jedno z wielkich pism (!) zapewne *Kuryer Warszawski*, przyrzekło nie pomieszczać kronik, jest poprostu żakowstwem które w braku poważniejszych celów stawia przed się podobne błachostki, godne tylko wielkości autora i pisma o którym mówimy...

Między *Przełędem Katolickim* a *Zwiastunem Ewangelickim* toczyła się ciekawa polemika. Szło o małe traktaciki w duchu chrześcijańskim pisane, wychodzące zdale się nakładem angielskiego towarzystwa biblijnego, a z powodu taniości szybko rozchodzące się między ludem. Zaniepokoiło to kler katolicki, a ks. Osiecki wystąpił w *Korespondencie Płockim* z namiętnem ostrzeżeniem przeciwko złemu duchowi siedzącemu w traktacikach, co z lubością zostało przez ultramontańską prasę pochwycone i na cztery strony świata, rozumie się Warszawskiego, roztrąbione. Składano ks. Osieckiemu czułe podziękowania za tę apostolską gorliwość, unoszono się i radowano, co zachęciło wielebnego prałata do wystąpienia szerzej w *Przełędzie Katolickim*. Z tego powodu

wał w Radzyminie. Sąsiedzi przybywali zdaleka, aby złożyć swe uszanowanie staremu hrabi i pani Gabryeli. Dom był pełny ludzi przez wiele tygodni z rzędu. Topolowa aleja brzmiała wciąż trzaskaniem z biczków, a pod gankiem starego dworu zajeżdżały ciągle obłoczone bryczki i koczki. — Jedni goście przyjeżdżali na noc, drudzy na obiad i zostawali na dnia resztę. A już p. Florentyna zajęta była od rana do nocy wydawaniem, raz poraz do kuchni zaglądając — a ztąd wiedziała dla kogo były przeznaczone komplimenta, gdy pani Gabryela wychwalała barszczyk, albo hr. Zygmunt powtórnie przybierał zrazów. — Wózek zaprzężony ślepią szkapką faktora z miasteczka, u którego dostać można było wszystkiego, poczynawszy od szampana i atlasu aż do śledzi, zajeżdżał codziennie pod oficynę. Radzymińskie bowiem piwnice zawierały już tylko szczątki potłuczonych butelek i żyd Szafir musiał dawać na kredyt wino, aby podtrzymać zwyczaj polskiej gościnności, w których się stary kochał hrabia. Nie raz tańczono do ranka, a p. Florentyna musiała wygrywać nieskończone mazury. W takich okolicznościach odumarał Walerego ojciec, a matka zabrawszy syna wyprowadziła się do Anglii, gdzie również w niedługim czasie pożegnała się z tym światem. — Dziecię przeszło na opiekę siostry, angielski sutywny i samolubnej, która żadną miarą nie wiedziała co ma zrobić z żywym chłopcem. — Oddała go do szkół i zapisała majątek pod warunkiem, iż ożeni się z jedną daleką kuzynką, wskazaną testamentowym kodycyłem. Młody jednak chłopak wyrwany z cichej wsi polskiej, pieczołony przez klucznice, tęskni do rodzinnego kraju, nudzi się w Anglii i na wezwanie dziadka z radością opuszcza sutywny Albion, aby do Polski powrócić. — Na dźwięk ukochanej sobie mowy, na widok siermiężnych chłopków, brodatych żydków, snujących się po stacyach, Walery wybuchł radością:

„Widzę”, rzekł dziadek z pociechą, „do szpiku kości polakiem zostałeś; każdy z nas podobnych doznaje wrażeń za powrotem do ojczyzny i nie sądzę, aby inne narody równego doświadczały wzruszenia. Nigdy nie widziałem aby się francuz lub niemiec tak cieszył, przybывая do swej ojczyzny jak my, kiedy do naszej biednej wracamy Polski!..” Walery umieszczył się w domu babki i to stanowczy wpływ wywarło na resztę

jego życia, na bieg jego uczuć, jako źródło jego czynów. — Dem to był czysto polski, w całej potęgze jego wielkich przymiotów i dodajmy od siebie nieodłącznych wad. — Gospodyną była osobą niemal świętą — matroną tradycy. — Portret to jakby przerysowany z którejś powieści Skarbka, pełnym szacunku ołówkiem angiela. — Przytaczany go nie ze względu na oryginalność, ale gwoli założeniu naszej recenzyjnej wzmianki: „Walery znalazł panią Gabryelę nadzwyczaj zmienioną, czemu się dziwić trudno, zważywszy iż starszą była od brata, a delikatnego nader zdrowia. Rzadko już tylko podnosiła się z łóżka, chyba niekiedy wieczorem, gdy się kto z gości znalazł, a hr. Zygmunt ją prosił, aby mu po dawnemu nalala herbatę.” „Walery nawet w młodziutkim wieku mógł ocenić rzadki wdzięk tej rozmowy, której przysłuchował się z uwielbieniem i najwyższą czcią grono wybranych; a chociaż nie mogła podejmować swych gości, ani też ich raczyć u siebie, mieszkanie jej o szarej godzinie nieraz przepelnionem bywało.” „Nieporządek i nieład ogólny, rozchodząca się wszędzie woń kuchni, brak komfortu i czystości angielskiej, tworzyły uderzający kontrast z mieszkaniem angielskich krewnych Walerego na Brook street. — A jednak niepomysł nigdy o powrocie i byłby z rozpaczą przyjął samo nawet przypuszczenie wyjazdu z Polski.” — „Rychło nawykł do owego życia, wszakże nad wszystko przekładał owe wieczorne rozmowy, w których dawne przypominano wypadki i o przyszłości szeptano kraju.”

Wkrótce pani Gabryela umarła. „Na parę dni przed zgonem powtórzyła jeszcze chłopcu, jak wielkie go odpowiedzialności czekały: nie każdemu danem urodzić się Krapkim, a im znakomitsze nazwisko, tem większe zobowiązanie nosić je godnie. Błogosławiąc drżącego chłopczykę, dodała: „Nie mam obawy aby mój Walercio miał zapomnieć o swem pochodzeniu.”

Słowa te głęboko mu utkwily w pamięci i wyrobiły w nim przekonanie, że lubo jako szlachcic polski winien być dla każdego szlachcicem i grzecznym, jako hrabia Krapki z innego niż reszta ludu powstał materyału. Po pani Gabryeli niebawem skłonił się do grobu hr. Zygmunt, powierzwszy dziecię opiece krewnego Drucholińskiego i adwokatowi Czosnowskiemu. Zmarłemu wspaniały wyprawiono pogrzeb, a autor w długim

ustępie zapoznaje anglików z naszymi zwyczajami około oddania ostatniej posługi. Walery wśród tej pompy pogrzebowej, otoczony całą arystokracją polską, zapomniał niemal o swym smutku, odczuwając ważną rolę jaką mu przyszło odgrywać, jako ostatniemu potomkowi gasnącej magnackiej rodziny. — Rzeczywistość jednak daleką była od marzeń dziecka-młodzieńca; dziadek prócz nieskalanego nazwiska nie zostawił ani szelągi majątku; opiekunowie zaś, dwa typy wręcz sobie przeciwne, od razu stanęli w sprzeczności. — Umiarkowany i zdrowo patrzący na rzeczy Drucholiński przyjmuje długi po Krapkim, ale nie może zająć się dzieckiem; ten więc obowiązek przyrzeka spełnić Czosnowski, człek gorącego słowa lecz przewrotnego czynu, birbant i hulaka udający czerwonego patryotę. To też wzwany jako adwokat do Krakowa, na pierwszym kroku opuszcza Walerka wśród Warszawy, która jak mocno zajmowała się i entuzjastycznie zgonem zasłużonego hr. Zygmunta, tak szybko zapomina o jego wnuku. — Dziecku zostaje tylko dwoje wiernych przyjaciół: stary żołnierz Maciek i stara kucharka Karolkowa. — Pierwszy oddaje paniczowi swe oszczędności, druga usługi i błogosławieństwa. — Ale dziecko w tej próbie wzrasta na młodzieńca, pierwiastek krwi angielskiej odnosi zwycięstwo i Walerek dziękując za dary przyjaciół, postanawia sam na siebie pracować i wstępuje do terminu w wielkim warsztacie stolarskim Rudnickiego.

Tu przerwiemy na chwilę wątek opowiadania, aby zwrócić uwagę czytelnika, iż tak dobrze Warszawie znany z powodu swej żony konsul-ator angielski, ze szczególną drobiazgowością kreślił dziejące dzieje swego bohatera. — Ulega on tu angielskiemu zamiłowaniu do dzieci, a zarazem korzysta z okazji zapoznania swego społeczeństwa ze źródłem, z którego wyrastają wady i przymioty polaka. — Lekcja jaką nam p. Mansfield daje, lubo nie jest oryginalną, ma jednak ważność sprawdzenia próby tych elementów, które w podstawę naszego charakteru kładziemy. Autor wcale nie jest tem wszystkim zachwycony i tylko pochwałę jego oraz uznanie, zyskuje niezapręzione nasze przywiązanie do kraju. To też mimo iż sam zdaje się być przekonany arystokratycznych — w arystokracji naszej tylko tę jedną światłą stronę podnosi mało sympatyzując z jej życiem prywatnym

umiarkowany i zawsze nader przyzwito *Zwiastun Ewangeliczny*, zauważył, iż broszurki lubo nie są pisane ściśle w duchu katolickim, trzymają się jednak pilnie ducha ogólnie chrześcijańskiego, nie prowadzą żadnej propagandy, nie ciskają się na papierstwo lub inne wyznania, gdyż głównym ich celem szerzenie moralności, a główną winą, że wielkimi głoskami nie napisały zakazu czytania przez katolików. Jak można się było spodziewać, wywołało to ze strony ks. Osieckiego siarczystą replikę, jedną z tych z jakimi zawsze obrońcy tego kierunku występują. Oskarżenie o kłamstwo, o zamiary najohydniejsze, kilkanaście epitetów, oto treść. Dawniej pisarze tej barwy wszystkich swych przeciwników przezywali: jakobinami, później demagogami, teraz socyalistami, nafciazami, nihilistami — bezbożnikami zawsze. Tymczasem *Zwiastun* spokojnie odpowiada, iż w broszurkach drukują się i traktaciki jezuitów, gdy trzymają się gruntu biblijnego, a jeżeli *Przeгляд* nie szczędzi przymiotników dla wydawców wstrętnych sobie książeczek, to jak trzeba nazwać tych, którzy kazali wybić w Rzymie medal pamiątkowy po wymordowaniu 20,000 hugonotów w Paryżu z napisem: „Ugonothorum strages”?

chajcio.” Słowa te starego Jowialskiego, reżysera naszej opery widocznie wzięła sobie za zasadę, trzymając się bezustannie jednego i tego samego repertuaru, który nigdy może nie był tak ubogim, jak w obecnej chwili. Przypominamy sobie, że przez długi czas opera nasza nie mogła rzeczywiście wystawić jakiegokolwiek większego dzieła, cierpiąc na chroniczny brak to tenora, to barytona, to basy, to wreszcie altu, lecz teraz, gdy szczęśliwe losy dozwoliły uformować wcale dobry komplet, który zadawałniamajaco wykonywa nawet bardzo poważne partyce, że wspomniemy tu o „Hugonotach”, „Proroku”, „Aidzie”, i innych, wartoby naprawdę ożywić repertuar. Tymczasowo w obecnym roku wznowiono tylko Proroka i Napój miłosny, co w porównaniu chociażby z przeszłym rokiem jest trochę zamało. Wprawdzie słyszymy już od dwóch lat prawie, że mają wystawić „Lohengrina”, które to dzieło nawet Lwów już miał sposobność słyszeć, lecz jakoś do przedstawienia przyjść żadną miarą nie może, mimo że pan Trombini z p. Dowiakowską owego czasu wyjeżdżali do Berlina, w celu przyjrzenia się tamtejszemu wykonaniu tej opery. Natomiast jedno z pism donosi, że *niezdecydowano się jeszcze, czy próby z Lohengrina odbywać dalej*. Oplaciłoz się więc tyle kosztów ponieść i tyle hałasu robić! W każdym razie

możemy mieć tę pociechę, że Lohengrin w roku pańskim 1878 był *próbowany* na naszej scenie. Zresztą publiczność nasza nie jest kapryśną i chętnie uczęszcza na Halkę, Violetkę, Bal maskowy i inne, co dwa tygodnie wznawiane opery. Niewiemy kto tu jest winien, nie zawadziłoby jednak reżyserowi opery wziąć przykład ze swego młodego kolegi od dramatu, który nie zasypia gruszek w popiele, a co najlepiej dowodzi, że trochę więcej energii przy dobrych chęciach, a będzie można wiele zdziałać.

Człowiekowi ucywilizowanemu trudnoby było uwierzyć, że w kraju naszym znajdują się całe wsie, będące spokojnem schronieniem szajki złoczyńców, że o wsiach tych wie administracya i nic im zrobić nie może. Cały szereg takich wiosek stanowiących rząd twierdz złodziejskich, wylicza nam „Korespondent plocki”, jako zaś przyczynę bezkarności przytacza tę okoliczność, że gdy się tam kto w nieprzyjaznych zamiarach pojawi, wnet cała wieś, jak jeden człowiek, powstaje, i osoba przybysza może się znaleźć w wielkiem niebezpieczeństwie. Nadto obawa zemsty wstrzymuje każdego od wrogich kroków przeciwko tym assocyacyom złodziejskim. Ależ to wszystko tak błache przyczyny, iż rzeczywiście śmiech tylko wzbudzić mogą. Czyż ręka sprawiedliwości, która przeciwko

„Znacie tę bajkę?” „Znamy.” „Więc słu-

Owi książęta, hrabiowie ostatni z mrących rodów, których zbytki, bezsercowe wyzyskiwanie, poler i wykształcenie kosmopolityczne, dumę rodową, bezinteresowność obok nierządu i nawet lekkomyślnej pozorami okrytej nieuczciwości, polscy autorowie tak lubią idealizować, nie znajdują w p. Mansfieldzie zwolennika, ale przeciwnie ma on dla nich kolący dowcip, przynajmniej o tyle kolący, na ile autora stać było.

KRYTYKA NIEMIECKA

o obrazie Matejki „Bitwa pod Grunwaldem.“

Łatwo było przewidzieć, że świetne zwycięstwo króla Władysława Jagielly, które zakonowi krzyżaków śmiertelne zadał ciosy, unieśmiertelnione po raz wtóry pędzlem mistrza krakowskiego obudzi w Niemczech złość obrażonej dumy narodowej, która zółc swoją przeleje w pióra krytyków i tych stroniczo usposobi przy ocenieniu arcydzieła pędzla polskiego. Wprawdzie Wiedeń nie należy do Niemiec i ludność Austrii żadnej solidarności z krzyżactwem mieć nie chce, mimo to część większa prasy wiedeńskiej czuje się być powołaną stać na straży narodowości niemieckiej i nieść sztandar, że się tak wyrażę, dzikich pretensyj *kulturträgerstwa*. Owóż krytyka wiedeńska patrząca mniej na sam obraz, jak na przedmiot obrazu, na „bitwę pod Grunwaldem“, klęskę Krzyżaków, staje się widocznie stroniczą i w ogóle niekorzystny wydaje sąd o najnowszym utworze Matejki, który od kilkunastu dni wystawiony jest w wiedeńskim Künstlerhausie i roje widzów tam ściąga. Zanim jednak przytoczymy zdania pojedynczych krytyków wiedeńskich o obrazie, będzie może odpowiednem zastanowić się choćby bardzo pobieżnie, jakiego rodzaju jest ta krytyka i o ile jej sąd może zasługiwać na szersze uwzględnienie? Pan Wiktor Tissot w swem dziele „Wiedeń i życie wiedeńskie“ zowie stolicę austriacką „metropolią świata muzycznego“. Trafności temu powiedzeniu odmówić trudno, gdyż Wiedeń wydał rzeczywiście dużo sławnych muzyków, posiada publiczność muzycznie wysoko wykształconą i ma znakomitych krytyków muzycznych. Wystarczy wymienić tu dr. Hauslika, Schelle, Gehringa

i dr. Helm. Na dobrych krytykach teatralnych również nie zbywa Wiedniowi. Lecz malarstwo, lubo w ostatnich czasach malarze wiedeńscy zdobyli sobie europejską sławę, nie może się pochlubić dobrą, przedmiotową, a nawet wolną od uprzedzeń krytyką. Jeden Ranzoni, lecz jeden i jedyny, który jest znawcą zawodowym malarstwa, może być w ścisłym znaczeniu słowa krytykiem nazwany, lubo u niego częstokroć osobiste i inne względy więcej ważą na szali sądu, aniżeli rzecz sama i dzieło sztuki. Ranzoni jest krytykiem malarstwa w „Neue freie Presse“. Od niego zaczniemy więc nasz przegląd krytyki wiedeńskiej o obrazie Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“.

Krytyka Ranzoniego w wymienionym dzienniku rozpoczyna się następującym wstępem: „Wszystkie możliwe postawy jakie ludzie namiętnie rozburzeni w walce na śmierć i życie przybrać mogą; wszystkie średniowieczne zbroje i przybory wojenne: halebardy, łuki, lance, sztylety, siekiery, koszule druciane, hełmy i t. p.; przeciwnicy palający szaloną nienawiścią, którzy przekuwają się, biją, strzelają na siebie a nawet rękami dusić lub paznogciami i zębami kaleczyć usiłują; konie, które tu zabójczą stałą rażone zwałają się na ziemię, tam wszelkich sił żywotnych dobywają, ażeby siebie i jeźdźca w dzikich skokach z zgiełku wynieść, błyszczące złote łańcuchy, lśniące rękogęście sztyletów, kosztowne siodła, pstre hełmy, tu pawie pióra, tam skóry dzikich zwierząt, potężne rogowe trąby wojenne, godne uświetnić muzeum sztuki; niemieccy rycerze, litwini, polacy, Anglicy, tam sztandar tryumfu wysoko trzymający, tu w zaciętej walce ku ziemi znizona chorągiew, krew i zapal, pokrwawione szaty, do tego jeszcze burza, ażeby różnobarwne płaszcze walczących rycerzy mogły po nad ich głowami szeleścić; w końcu tak wiele i — na co bezwarunkowi wielbiciele mistrza szczególną kładą wagę — tak wierne oddanych kostiumów, że niemi całe muzeum zapełnić można; wszystko to w wszystkich odcieniach skali barw oddane; w pomysł, rysunku i barwie pewna liczba wybornych szczegółów, z których każdy jednako hudaśliwie z całości wyziera; mazaika etnograficznej i starożytnej wiedzy i technicznej biegłości; całość, która w założeniu rozdarta na mnóstwo przewybornych szczegółów, nigdy zespoloną być nie

może; mieszanina po części krzyczących, po części zaś wzajemnie neutralizujących swe wrażenie kolorów, trudna do pojęcia, nigdy zaś nie mogąca sprawić rokosznego wrażenia: oto najnowszy w Wiedniu wystawiony obraz Matejki“.

Po charakterystyce obrazu przechodzi krytyk do szczegółów. Twierdzi on, że całość przy wielu zaletach gruntownie chybiona. Pomimo wielkiego talentu, znakomitej techniki i pomimo prawdziwie podziwu godnej pilności, rezultat pracy w ogóle „smutny“. Nastąpiło to, wedle zdania krytyka, głównie w skutek „wypactzenia kompozycji“ i „nieszcześliwego traktowania kolorytu“. Obraz w trzech czwartych swego rozmiaru nie ma żadnej głębi; zaledwie ostatnia czwarta część płótna poświęconą jest zagłębieniu. Powiada on dalej dosłownie: „Kładę z umysłu nacisk na to, że koloryt po części przeszkadza zrozumieniu grup pojedynczych, ponieważ o zrozumieniu całości bez komentarza i mowy być nie może. Jeżeli bez objaśnień staje się przed obrazem, to nie można wcale odgadnąć kto jest tu zwycięzcą, a kto zwyciężonym. Król Władysław Jagiello, który w niemieckich książkach historycznych jako właściwy zwycięzca w bitwie pod Grunwaldem jest uważany, znajduje się po prawej stronie obrazu na górze, w głębi, w tak niestosunkowo małych rozmiarach oddany, że w początku wcale go się nie spostrzeżają... Patrząc w większym oddaleniu na obraz, lepsze sprawia on wrażenie w całości, jednak pojedyncze osoby i grupy, które przecież jego główną stanowią wartość, tracą w oddaleniu bardzo wiele. Z faktu, którego nikt zaprzeczać nie może, wynika ten pewnik, że malarz tego rozmiarami tak wielkiego dzieła, pominął przy tworzeniu najważniejsze nauki o perspektywie“.

Po ostrej naganie przychodzi pochwała: P. Ranzoni tak się wyraża: „Wspomniałem już o wytwornie namalowanych pojedynczych osobach i grupach. Choć teraz szczegółowiej się nad nimi zastanowić. Uderza tu przede wszystkim figura w żelazo zakutego wielkiego komtura Henryka z Liechtenstein. Jest ona bardzo po mistrzowsku wykonana. Następnie po prawej, w bliskości wielkiego księcia Witolda musi każdego zachwycić rycerska postać jednookiego Żyszki, postać w wielkim dziejowym stylu pomyślana i w pełnym ruchu, z porywającą bezpośredniością na płótno przelana. Dalej

daleko większym potęgą skutecznie działa, nie miałaby dziś siły, aby rozpedzić szajkę złoczyńców? czyż tych, którzy milczą z obawy nie można zmusić do wyповідania wszystkiego? Trzeba tylko posłać siłę zbrojną i przepatrzeć dobrze podejrzane miejscowości, a z pewnością powoli cała szajka łotrów wpadnie w ręce sądów.

Proszeni jesteśmy o wydrukowanie: List otwarty do hr. Stanisława Tarnowskiego: Najnowszy obraz Matejki, bitwa pod Grunwaldem, jako utwór genialny, długo zapewne będzie przedmiotem badań, rozpraw, krytyk, pochwał i t. p. Inaczej też być nie może w obec pewnej odrębności, wyróżniającej dzieła wyższe od utworów pospolitych. Szanowny Profesor wystąpił z oceną obrazu w pracy wykwińskiej formą i bogatej treścią. Czy Jego poglądy są zasadne, czy one zdając sprawę z wrażeń widza i krytyka tylko jego własną duchową odzwierciedlają stronę, czy wzbił się do wyżyn w których artysta czerpał natchnienia, czy podąża szlakiem nowym przez artystę wytkniętym, czy też pragnąłby na swoje wprowadzić go tory, są to pytania, które dopiero czas rozstrzygnie. Listem niniejszym zamierzam jedynie ukoić rozpacz Szanownego Profesora, niefortunnie wygłoszoną, jako jeden z ostatecznych wyników Jego pracy naukowej. Boli Go, że

obraz już znalazł nabywcę, że będzie światu okazywany, a w końcu może przejdzie w ręce wroga. *Spekulant* wdarł się do samotnej pracowni mistrza, czynem dowiódł, że jego pomnikową pracę należycie ocenia, nie troszcząc się o głos przyszłej krytyki i może czynem takim wyzwalać umysł twórcy z krępujących go więzów codziennego życia, zdobył sobie pewną zasługę w dziedzinie sztuki ojczystej. I oto powód do rozpacz. Inni, wyżsi urodzeniem i majątkiem, skorzy do wykrzyków uwielbienia, zdolni do głębokiej oceny arcydzieła, nie oddawali się rozpacz, gdy naprzykład Batory, przez lata całe czekał nabywców i podobno chudł od wysięków procentowych, wpływających do jakiejś instytucji bankowej! Zamiast oddawać się bezzasadnej rozpacz, niech mecenas sztuki, *niespekulanci*, częściej wchodzą w napróżno roztwarte podwoje naszych artystów, niech tam wnoszą coś więcej nad piękne słowa, a wynoszą utwory ducha i szczytą się niemi przed światem. Jeżeli do takiego posłannictwa brak chęci i środków lub odwagi, niech innym ustępują miejsca bez rozpacz, owszem z radością i uznaniem i niech pomną, że niegdys szlachectwem darzono prostaków idących w ogień, nawet dla mniej szlachetnych spraw.

D. Rosenblum.

Interesanci odbierający na komorze Warszawskiej posyłki pocztowe, uskarżają się na trudności w ich wydawaniu, wynikające ze szczupłości czasu na ten cel wyznaczonego, bo tylko od godziny 9 do 1 z południa, a także na małą liczbę urzędników, którzy nie są w możności zadowolenia znacznej ilości interesantów; parę godzin więcej czasu i jeden urzędnik dodany usunąłby tę ważną dla handlujących niedogodność.

P. Wacław Holewiński który świeżo powrócił z wycieczki naukowej, zbierając nowe materiały do swojego studium „o Galileusz“, które się już znajduje pod prasą — natrafił na nowe źródła naukowe, wysiewające przejścia systematu Kopernika w uczonej świecie. Ten nabytek wiedzy umyślił p. H. zużytkować na rzecz uczczenia Kopernika i prawdopodobnie jeszcze w tym miesiącu mieć będzie dwa odczyty w tym zajmującym przedmiocie.

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołącza się ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk.) tabelle ark. 12, oraz dla prenumeratorów prowincjonalnych prospekt na pismo p. t. *Tygodnik Powszechny*.

po prawej stronie na przedzie ostrzem stali ugodzony, upadający koń, znowu na przeciwnej stronie obrazu dwaj wojownicy, którzy paznogciami i zębami kaleczą się, wyżej głowa sędziego komtura Wenera Tetterera i t. p. Podobnych zalet pojedynczych posiada obraz jeszcze więcej. Jednak pod względem uduchowania (Durchseelung) głów dosięga najnowszy obraz Matejki tylko w pojedynczych wypadkach tę siłę, którą z uwielbieniem podziwialiśmy w jego „Skardze“, w jego „Unii“ i w innych jego utworach.

Krytyk znajduje w obrazie również i szczegóły, które są „czcze, niezrozumiałe i chybione“. Do takich zalicza pod względem kolorystycznym księcia Konrada Białego, którego złocisty płaszcz w tonie barwy w niczym się prawie nie odróżnia od blondynowych włosów; podobne wpływanie tonu kolorów w siebie (Konsonanz) daje się wszędzie na obrazie spostrzegać i odejmuje mu wyrazistość. O głównej figurze obrazu, o Witoldzie pisze Ranzoni: „Witold powinien w swych rysach i w swej postawie wyrażać dumne, w namietną radość wybuchające uczucie w skutek odniesionego zwycięstwa. Tymczasem przy wszelkiem wyteżeniu jego nerwów nie zdobywa on się na nic innego, jak na oznaki silnego cielesnego rozburzenia. Ponieważ Matejko przy tej kreacji notarycznie nie oparł się na historycznym portrecie, lecz swego bohatera wedle fantazy malował, która jak wiadomo nie ma ciasnych granic, to jest dla mnie niewytłomaczonym, dlaczego on dowódca armii dał na podróż w świat tak niepoetyczną postać i tak odstręcającą twarz; gniewa nas prawie, że taki człowiek zwyciężyć musiał“.

Ostatnie słowa konstatujące gniew za zwycięstwo są charakterystyczne, chociaż przedstawiają się jako uzasadniony wynik poprzednich zdań.

Krytyk tak kończy rzecz swoją: „Bez wątpliwości dużo będzie jeszcze sprzeczeki o tym obrazie. Ja uważam za szczęśliwe zrzucenie losu dla sławy mistrza, że on za późno skończył obraz, ażeby ten mógł pójść na powszechną wystawę w Paryżu. Z obrazu tego — uderza to w oczy patrząc na całość, czy też na porywające jego szczegóły — wionie pewien obcy, nie waham się tu użyć właściwego wyrazu — barbarzyński rys, który daleko mniej olśniewa, aniżeli obraża. Charakterystyki tej nie łagodzi nadziemskie zjawienie się polskiego patrona, św. Stanisława, który nad walczącymi unosi się w obłokach. Na tem koniec. Ostatnie słowa krytyki są widocznie stronnicze. Obraz Matejki miałby niezawodnie „cywilizowany rys“, gdyby przedstawiał zwycięstwo krzyżaków nad polakami lub jakim innym narodem słowiańskim, lecz ponieważ to słowianie gromią swych ciemięzców, więc cóż dziwnego że krytyk kulturtregerskiego dziennika, jakim jest *Neue freie Presse* znajduje w tem „barbarzyństwo“.

Tygodnik *Montags Revue*, którego literacka i artystyczna część sumiennie i poważnie jest prowadzona, tak się wyraża o obrazie Matejki: „Przy tych olbrzymich rozmiarach płótna, przy tak wielkiej liczbie figur i takiej masie nagromadzonego materiału dekoracyjnego, niepodobna jest nawet po kilkukrotnem oglądaniu znaleźć punkt środkowy przedstawionej akcji, ponieważ owa osoba, która za taki ma być uważaną, należy może do najbardziej nieudalych. Trzeba się uzbroić w wielką cierpliwość, ażeby mózgiem za mistrzem zdążyć. Mozajkowatość, która zarówno w kolorystyce, jako też i w kompozycji każdego uderza, należy do cech charakterystycznych obrazu. Jeżeli się to pominie, wtedy owłada uczucie radości każdego, z powodu wielkich nadzwyczajnych przedmiotów mistrza, które wysoko stawiają

go po nad tych, którzy reklamie swą sławę głównie zawdzięczają. Matejko jest znakomity w rysunku i niezrównanym malarzem prawdziwego kolorytu. Jeżeli on na olbrzymim obrazie niekiedy figurę chybi, czasami barwie za pstro lśnić kaze, to obok jednej chybionej figury widzimy cały poczet innych postaci, których prawdziwa charakterystyka porywa, widzimy pyszny koloryt, który jak tęcza roztacza się przed nami w majestacie barw. Podczas kiedy inne obrazy działają odpychająco, jeśli się do nich zbliżymy, utwory Matejki przyciągają ciągle bliżej a nawet w bezpośredniej bliskości płótna napróżno szukalibyśmy owej dzikości, która składa się na sławę innych „mistrzów“. Matejko równą miłość i troskliwość poświęca szczegółom, jak i całości. Chociaż „Bitwa pod Grunwaldem“ niewyrównuje „Unii“, to jest znakomitym obrazem artysty, jakich nasza epoka w bardzo małej posiadania liczbę.“ (D. n.)

TANKRED.

Romans lorda Beaconsfielda.

(Streszczenie).

XII.

W całej Syrii od Gazy do Aleppu panuje system feudalny — i rzeczywistym błędem tak Turcy jak Mahmeda Ali walczących o tę krainę były usiłowania dążące do naruszenia tego porządku rzeczy. Wszystkie zaburzenia niszczące tę piękną krainę brały ztąd źródło, iż władza pragnęła ukrócić obszerne prawa muktadżisów — feudalnych naczelników, posiadających moc, z wyjątkiem kary miecza, nad losem i mieniem reszty mieszkańców. Naczelnicy ci, w zylach których płynie krew starsza niż niebieski plyn farbujący najdawniejsze rodziny arystokratyczne Europy, mimo rozbicia na sekty: mahometan, maronitów, druzów, zawsze są z rodu arabami. Porta wpływa na wybór książąt, ale Liban górzysty nigdy nie uznawał pełnej jej władzy. Emirowie z rodziny Shahaabów rządzą większą częścią kraju, a chociaż byli to książęta katolicycy z wyznania, cieszyli się poważaniem i u innych plemion wyznających proroka. Nie przeszkadzało to jednak maronitom nienawidzić druzów, a w 1870 roku zamieszki przybrały szersze rozmiary. Wnięszwały się mocarstwa, a znakomici prawodawcy świata układający konstytucye przy Dawning Street¹⁾ dla Syrii i Chin wymyślili nowy zarząd Libanu. Zasadzało się to na ustanowieniu osobnej władzy dla maronitów, osobnej dla druzów i wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby oba plemiona siedzące na wspólnem terytorium, nie były pomieszane i na podobną przystały zgodę. Porta której podobny zarząd nie był na ręce, jak również rodzina Shahaab, podtrzymywali wrzenie, które w 1845 r. znowu doprowadziło do wybuchów i wojny domowej. Lecz maronici wyszedłszy z gór zostali pobici, a turcy zajęli przejścia nim Fakredin zdołał się wybrać na wyprawę. Spozstrzegłszy stan rzeczy z wroga nagle przemienił się w rozjemcę między plemionami i w takiej właśnie znajdował się fazie, kiedy poznał lorda Montakute. Co mu się nie udało wujując zasadą: divide et impera, pragnął osiągnąć skupieniem wszystkich pod swemi sztandarami. Rzecz jednak była nie łatwą, gdyż co dzielni wodzowie rodów straciwszy nie mało na ostatniej wojnie nie mieli ochoty w nowe wdawać się awantury. Zdania ich zgadzały się z pomysłami Tankreda iż

Liban nigdy się nie zdoła oprzeć skutecznie, jeżeli nie będzie miał zapewnionych przejść północnych, które zostawały w rękach anzarów.

— W czyjej mocy znajdują się przejścia północne szlachetny Szeiku? pytał Tankred poważnego Hamuda naczelnika druzów.

— Powiedzieć prawdę, są one w mocy rodzonych synów piekła, to jest w mocy anzarów, którzy zawsze byli naszymi wrogami i ztąd całe nieszczęście.

— Lecz nigdy nie powiniby źle być usposobieni przeciw domowi Shahaab. Wuj mówił iż gdyby w poprzedniej wojnie miał za sobą anzarów, pobili osmanów i egipcyan, zauważył Fakredin.

— Tak i przy twym dziadku Juzufie mogłoby to mieć miejsce. Anzary skoro zechcą wystawić są zdolni dwadzieścia pięć tysięcy zbrojnych.

— A mnie się zdaje iż w razie potrzeby mogliby wyjść przeciw turkom w Anatolii!

— Niewątpliwie, jeśli będą w zgodzie z turkomanami i kurdami, nic im nieprzeszkodzi w Bosforze spławić konie.

— Rzecz dziwna, odezwał się Fakredin, tyle razy byłem w Antiochii, w Aleppie i nigdy mi na myśl nie przyszło odwiedzić anzarów. — Jakaś niechęć, jakiś strach, wstręt zawsze mię wstrzymywały. W dzieciństwie nianki straszyły mię anzarami, gdy się spać nie chciałem położyć. Wuj też zawsze na nich wymyślał.

— A jednak tak on sam jak i jego ojciec używali wszystkich środków ażeby wejść z nimi w przyjazne stosunki.

— I sądzisz — znów spytał Tankred szejka — że bez ich współdziałania Syrya swobodną być nie może.

— Tak myślę — jeżeli anzary będą z Syryą, a w pustyni pokój, Syrya może zrzucić jarzmo turka i egipcyanina.

— I poprowadzić nasze zastępy w sam środek nieprzyjaciół — zawołał Fakredin.

— Co do mnie, nie myślę trwożyć ani jednego ani drugiego, byleby mnie zostawiono w spokoju — zakonkludował Hamud.

— Hm! widzicie — zauważył Fakredin — oto gazy skaczą z wzgórz na wzgórze, czyby nie pomknąć za nimi, a zawiodyby nas prosto do ziemi anzarów.

— Daleko to — i nie pragnę nałożyć swą głowę — tam panuje kobieta.

— Kobieta! zawołał Tankred i Fakredin razem.

— Tak mówią, a zresztą może to i bazarowa plotka.

— Nigdy o tem nie słyszałem, choć sobie przypominam iż dziadek opowiadał o anzarach jakoby modlili się do kobiety.

— W takim razie byłiby chrześciami nami, zauważył Hamud — a nie słyszałem a żeby wierzyli w Chrystusa.

Naturalnie Tankred pragnący poznać narody Syrii i Małej Azji, mocno się zainteresował anzarami i zapytał o nich Baronięgo. Lecz ten nie umiał o nich nic powiedzieć, pojechano przeto do Damasku, gdzie Tankred spotkał się z Ewą i Besem, oczekujących zbliżającej się chwili wesela. Tymczasem Baronięgo wyszukał jedynego sobie znanego anzara Darkusza kupca pachnidła i wschodnich perfum. Bogaty zakup w jego sklepie bez wzięcia towaru, a głównie zapewnienie iż jeden z książąt jest tej samej co królowa anzarów wiary, skłoniły Darkusza iż zapytał swej górskiej władczyni czy przyjmie cudzoziemców. Cudzoziemski książę wyznający jedną wiarę był zbyt wielką pokusą i Tankred z Fakredinem w towarzystwie jednego Baronięgo, otrzymali wiadomość iż przy górskim wąwozie wiodącym do Dżindariks, stolicy państwa anzarów — czekać ich będzie stosowny konwój. Miasteczko wydało się niewielkie i biedne, lecz nie pozbawione architektury, a zamek królowej wieńczył szczyt olbrzymiej

¹⁾ Ulica w Londynie, gdzie się mieści ministerstwo spraw zagranicznych.

skaly. Baroni zsiadając z konia zauważył iż dostać się do Dzindarixsu było nie łatwo, ale wyostać ztąd przyjdzie jeszcze trudniej. Na spotkanie książąt wyszedł staruszek, z badawczemi czarnemi oczyma, odziany nie bogato, lecz zachowywał się z wielką godnością, choć był pełnym uszanowania dla gości. Na pierwszy rzut oka można było poznać iż rządził tu w pałacu i rzeczywiście był to eunuch Kaferenis, pierwszy minister i doradca królowej.

— Książę Anglii—witał Kaferenis — nie znajdzie tu bogactwa do którego przywykł. Urodził się on w Londynie, mieście oblanem ze wszech stron wodą—wiem, wiem to dobrze. Anglicy przepędzają pół roku na swych statkach, które płyną do Indyi, a pół roku na lądzie. My zaś nie wychodzimy po za nasze góry i nie możemy porównywać się ani z anglikami ani z innemi ludami. Handel nam zagarnęli inni, bazy stoją pustkami i nie jesteśmy w możności jak dawniej kupować niewolników u kurdów.

— Sądzę iż rossyianie przeszkadzają waszemu handlowi—zauważył Fakredin.

— Szlachetny emir Libanu wyraził się z niezmierną słusnością: obecnie rossyianie wszystkie swoje haremy zapełniają towarami skupowanymi w północnej Azji.

— Efendi dużo podróżował? zapytał Tankred.

— Szlachetny książę Anglii wyraził się z nadzwyczajną słusnością i pochlebną łaską, rzeczywiście byłem we wszystkich miastach Syrii—prócz Jeruzolimy; nikt bowiem nie pragnie Jeruzolimy widzieć, gdyż to jest świńskie miasto.

Tankred ledwo się wstrzymał z wyrażeniem swego gniewu; Fakredin zaś rozpytywał ministra o jego stosunki z domem Shaahab, naturalnie nie zaniebawszy dodać iż gdyby istniał związek przyjacielski między Libanem a anzarami, cała Azja byłaby w ich rękach.

— Szlachetny emir wyraził się z niezmierną łaską i siłą anzarów — wielką jest mocą.

— Czy prawda że mogą oni wystawić dwadzieścia pięć tysięcy wojowników? zapytał Tankred.

— Dwadzieścia pięć tysięcy! zawołał Kaferenis z poszanowaniem wyglądającym na ironię — tak i każdy z nich pobije dziewięciu maronitów czyli trzech druzów.

— Dwadzieścia pięć tysięcy fig twym dwudziestu pięciu tysiącom wojaków, roześmiał się Fakredin.

Przyniesiono posiłek i Kaferenis uwiadomił gości, iż otrzymają audyencyę u królowej, może dziś, może jutro, może za tydzień. Nie było to rzeczą przyjemną, na szczęście królowa nie odrodziła się od matki Ewy. Ukryta za dywanem przypatrywała się swym gościom wraz z ulubioną przyjaciółką Cypros. Chodziło o to, który z dwóch książąt wyznaje jedną z nią wiarę. Zdawało się jej że to będzie blondyn z otwartem, natchnionem obliczem. Dla rozstrzygnięcia wątpliwości, postanowiła przyjąć podróżnych natchmiast. Miała lat osiemnaście; rysy jej były doskonale greckie, cera niesłychanej białości, włosy czarne jak noc, a oczy z odzieniem fiołka. Ubrana była w purpurowy płaszcz a na głowie wpięty w sploty włosów nosiła złoty diadem. Zresztą żadnych innych ozdób. Sposób jej zachowania się był poważny, spokojny, a po zamianie powitań poprowadzono rozmowę od zwykłych na Wschodzie zapytań o ludy i miasta Europy.

— Widziałeś książę Antanję (Antiochię)? zapytała królowa Tankreda.

— Jeszcze nie.

— Antania mniejsza od Bejrutu, lecz był czas kiedy mury jej rozlegały się obszerniej niż ulice Stambułu, a nawet pewno obszerniej niż kamienne ściany Londynu.

— I była piękniejszą od jednego i drugiego miasta — wtrącił Tankred.

— A skąd wam to wiadomem książę? — zapytała królowa z zadziwieniem. Lecz powiedz dla czego obecnie Antania, mniejsza jest od Stambułu i od angielskiego miasta?

— I mędrzec by na to nie odpowiedział! — skromnie zauważył anglik.

— Nie jestem mędrceem, lecz mogłabym odpowiedzieć na to — rzekła królowa.

— A czy wasza dostojność nie zechce zrobić tego?

— Są przedmioty o których trzeba mówić, a są takie o których należy milczeć — rzekła królowa zwracając się do Kaferenisa.

— Jej dostojność powiedziała wszystko z niewyraźną prawdą i łaskawością — zanucił minister.

Królowa kazała oddalić się orszakowi i prosiła obu książąt aby bliżej zajęli miejsce, poczem zwróciła się do nich.

— Książęta, witam was w Dzindarixsie, gdzie żaden z cudzoziemców nie miał wstępu, gdyż nie życzymy nikogo widzieć i nikomu się pokazywać. Nie jesteśmy jak inni, nie zazdrościmy niczego nikomu. Nie pragniemy ani okrętów królowej angielskiej, ani Stambułu tureckiego sułtana. — Moi poddani contentują się tem co posiadają, a nasze góry są ubogie i trzeba dużo pracować aby wydobyć kęs chleba. Nie mamy złota, srebra, lecz posiadamy pewne tajemnice, więcej niż tajemnice. Jest to nasza wiedza i nie każdy ją posiadać może. Gdy się zgodziła was przyjąć, powiedziano mi, że nie będziemy prowadzili rozmów politycznych. Nic nie potrzebujemy i nie chcemy nic zmieniać, bo u nas wszystko zostało tak jakim było w onych wiekach, kiedy nazwa anglika i turka nie istniała. Zgodziłam się was przyjąć bo mi mówiono, iż nie będziemy trwonić słów o tem co przypluwa i odpływa jako woda, co tylko tworzy szum w miastach i jak szum umiera — ale o rzeczach ważnych.

Odpowiedział na to Tankred imieniem swoim i swego przyjaciela iż celem ich podróży nie jest ani polityka, ani handel, ani ciekawość.

— Mamy ważne zamiary królowo! Azja od początków duchowo panowała światu. Na nieszczęście świat traci wiarę w wielkie idee i przekonania dotąd królujące w ludzkości. Żywimy przekonanie iż nastał czas, kiedy Azja winna znów się przebudzić i objąć swe berło. Wiedzie nas natchnienie boże—lecz bez ludzkiej pomocy nie stanie się czyn leżący w zamiarach naszej misji. Wiemy iż Arabia i Syrya są to kraje oddawna przeznaczane na naczynia duchowe i góry oraz pustynie zamieszkuje ludy nie zarażone zbrodniami narodów z równin. Oba ludy mogą wystawić piesze i konne wojsko i przeznaczone są aby wzajem się uzupełniać. Pragniemy zawojować świat dla szczęścia rodu ludzkiego i panowania równości bożej idei; chcemy obalić i zamienić w proch wszelki polityczny antagonizm i tyranję wszelką.

Królowa pomyślawszy odrzekła.

— I ja równie wierzę w konieczność duchowego panowania Azji; zdaje mi się iż odkąd to zwierchnictwo nie istnieje, w życiu człowieczeństwa coś się przerwało, a człowiek stał się mniej wielkim, mniej pięknym. To coście mi powiedzieli przekonywa mnie żem dobrze zrobiła przyjmując was. Lecz mówiliście książę o Arabii, o Bogu—o jakim Bogu myślisz?

— Mówię o Bogu jedynym, o Bogu który się ukazał Mojżeszowi na arabskiej górze Sinaju, który zstąpił i umarł na syryjskiej górze Golgoocie.

— Nie zapominaj że w Anatolii jest tak-

że góra Olimp¹⁾ i tam w czasie ukazywali się bogowie.

— Bogowie poetów — zauważył Tankred. — Nie bogi narodów — bogi kochające narody i kochane.

A potem zwróciła się królowa do Kaferenisa i rzekła:

— Zamysły tych cudzoziemców są dostojne, chcą aby się przed nimi otworzyły wrota okrywające to co jest świętem i pięknem.

— Najniezawodniej, niezwyciężona królowo! odrzekł minister.

— Rozkaż przynieść kwiaty. Książęta ujrzycie świętą tajemnicę, ujrzycie to czego nie widziało ludzkie oko: świętości Azji.

INDYE WSCHODNIE I AFGANISTAN,

przez

FRYDERYKA HELLWALDA.

(Ciąg dalszy).

Wyrażając w kilku słowach dzisiejsze wewnętrzne położenie rzeczy w Indyach brytańskich, kraj i ludność pod panowaniem angielskiem uczyniła niezaprzeczone postępy i zdaniem naszym, winna być wogóle ze swego stanu zadowolona, w żadnym razie zaś nie ma powodu do życzenia sobie zmiany monarchy. Jednakże nie jest niemożliwem, iżby głównie interesowani, sami hindusowie, nie podzielali naszego poglądu, a niebrak angielskich autorów niezwyjących pod tym względem żadnej wątpliwości. Jest rzeczą pewną, że panowanie angielskie mniej lub więcej wszędzie się dało uczuć, a w porównaniu z poprzedniemi krajowem uznać należy iż jest sprawiedliwszem, mniej uciążliwym i dobroczynniejszym niż indyjskie; jednakże nie można zataić, że krajowcy o wiele przenoszą indyjskie nad angielskie rządy. Czy wśród takich okoliczności obcy emisaryusze nie znaleźliby w części chociaż przysposobionego gruntu dla swych zamiarów u krajowców indyjskich i jaką ciż ostatni obraliby drogę postępowania w wypadku wojny panowaniu angielskiemu w Indyach zagrażającej, są to pytania, na które nateraz odpowiedzieć nie możemy.

Co do dodatnich i ujemnych stron zarządu angielskiego w Indyach wschodnich w obecnym czasie zdania są podzielone; niemniejsza różnica zachodzi w poglądach, do jakiego stopnia posiadanie Indyi wschodnich można uważać jako zapewnione, do jakiego stopnia jest przeciwko wewnętrznym i zewnętrznym niebezpieczeństwom obwarowane. Przez kilka lat dziesiątek rozprawiano o systemie anglików wysysania Indyi i o zagrożonem ich panowaniu przez Rossyę. Obecnie, gdy poniekąd do dobrego należy tonu podziwiać anglików jako jedynych reprezentantów i krzewicieli moralności, wolności i postępu, owe napomnienia Kassandry zbywane są szyderstwem, a powątpiewający o niewzruszonej potędze indo-brytańskiej, jakkolwiek skromnie wynurzyliby swe zdanie, zostają o zacołanie i nieświadomość obwinieni. Zagrożenie Indyi przez zastępy wojsk rossyjskich, należą do „owych fantastycznych pomysłów, działających tylko przez urok, jaki rzeczy nieprawdopodobne na naiwne zwykły wywierają umysł”. Nikt wszakże jasnym obdarzony poglądem, obeznany z biegiem spraw w ostatnich lat dziesiątkach nie zaprzeczy, że polityka rządu indyjskiego pod niektórymi względami spotęgowała jeszcze znacznie już z natury trudności stosunków zewnętrznych, przez niedość umiejętne zastosowanie właściwych środków i uporne w przeciągu wielu lat nie-

¹⁾ Antiochijski Olimp bardziej u ludów wschodnich znany, niż Olimp ludów Hellady.

kiedy trzymanie się w praktyce mniej traf- nego postępowania, jak to mianowicie mia- ło miejsce w stosunkach z Afganistanem. Wprawdzie panegiryci Albionu urzędowi i nieurzędowi, krajowi i zagraniczni, głosili przed niedawnym jeszcze czasem, że polity- ka rządu indyjskiego odnośnie do sąsiadów pogranicznych jest wzorową, że z tej stro- ny żadnej nie ma obawy. Z dumą powiada- no przytem „iż Anglia zajęła imponujące stanowisko nad granicą północno-zachod- nią”, nie zastanawiając się nad tem iż dość już jest rzeczą smutną i drażliwą, że Anglia zmuszoną była zająć owe „imponujące sta- nowisko”. O ile zresztą to stanowisko jest rzeczywiście silnem i korzystnem, dotąd jeszcze nie zostało sprawdzonem, albowiem 10,000 wojska angielskiego w Peszawerze i inne oddziały armii północno-zachodniej, po niezmiernie rozrzucone przestrzeni, pomimo niezaprzeczonej wyższości organizacyi, do- wództwa i uzbrojenia, nie miały dotąd spo- sobności doświadczenia sił swoich w niebez- pieczeństwie z tej strony grożącym. Siła wojenna brytyjska w walce z dzikimi ple- mionami górskimi Afridi i Dżowaki w o- statnich latach nie pozyskała zbyt świetnych wawrzynów, a długi i zacięty opór, jaki te źle zorganizowane bandy zdołały stawić an- gielskim kolumnom, nie przedstawia pewno- ści powodzenia dla oręża angielskiego w wal- ce z potężniejszym przeciwnikiem.

Na nieszczęście zewnętrzne niebezpieczeń- stwa Indym grożące, nie są przeciw samej tylko granicy północno zachodniej wymie- rzone, lecz istnieją na wszystkich punktach granic rozległego państwa. Maharadża Ka- szmiru i Dżammy nie tai się z swą niechę- cią przeciw anglikom i usiłuje wszelkimi sposobami trzymać ich w oddaleniu od swych posiadłości, jakkolwiek siły jego nie wystar- czają do wyswobodzenia się z nałożonego upokarzającego haraczu. Dalej na wschód przebywają hordy nieuległych i niepokro- mionych ludów górskich, niechęcych ko- rzystać z błogich wrzekomo dobrodziejstw przez anglików mieszkańcom Hindostanu świadczonych. Wreszcie król Birmy, które- go polityka anglo-indyjska w przeciągu osta- tnych lat pięćdziesięciu wyzuła z większej połowy jego posiadłości, nie przestaje z lu- dem swym okazywać nieprzyjaznego wzglę- dem anglików usposobienia, w ustawicznych objawiającemu się zatargach. Krótko mówiąc, obecną sytuację można w ten sposób okre- ślić: że po długoletniemu panowaniu angli- kom nigdzie się nie powiodło zjednać sobie w sąsiadach swych prawdziwych i szczerych przyjaciół; przeciwnie, ze wszystkich stron są bądź skrytymi, bądź jawnymi wrogami otoczeni, których wszystkich wspólnem jest życzeniem widzieć upadek panowania an- gielskiego w Indjach, a jakkolwiek siły ich zbyt są słabe do urzeczywistnienia tego ce- lu, tyle ich jednakże posiadają, ażeby an- glików w ciągłym utrzymywać niepokoju, jak to ciż ostatni dość często już doświad- czyli.

Przez swoje położenie, równie jak przez siłę swą zbrojną, Afganistan czyli państwo emira Kabulu, jest najważniejszym krajem pogranicznym angielskich posiadłości w In- dyach i wielkiego ztąd dla anglików zna- czenia. Z tego powodu usiłowali oni od da- wna uzyskać wpływ w tym kraju, chociaż potajemnie, zwłaszcza od czasu gdy smutne ztamtąd wynieśli doświadczenia. W wypra- wie przeciwko Dostowi Mahometowi Kha- nowi, założycielowi dzisiejszego państwa afganów, w pierwszych dniach stycznia 1842 r. armia brytyjska w wężozach Kei- beru, prowadzących z nizin Pundżabu do wzgórz afgańskich została do szczytu wy- tępioną, tak dalece że jedyny tylko pozos- tały przy życiu, Dr. Brydon, zdołał uciec do miasta Dżellabad. Od tego czasu anglicy nabyli smutnego przekonania, iż z ochiwą,

krwi niesytą i zdradziecką rasą afganów w ich górzystym kraju trudno jest z powo- dzeniem dłuższą toczyć wojnę i dla tego starali się urządzić stosunki z tem państwem w sposób przyjacielski. Lecz z właściwą anglo-indyjskiej dyplomacyi niezręcznością trzymali się w obec Kabulu chwiejnej, mniej rzetelnej polityki, której obecnie zaczynają zbierać owoce. Stosunki między Afganista- nem i Indjami stawały się w ostatnich la- tach coraz więcej naprężone, a Anglia mimo wsparcia udzielanego emirowi i innych niejednokrotnie oddanych usług, nie mogła sobie wyjednać aby jej było dozwolonem utrzymać agenta politycznego na dworze Szir Alego, który nie bez słuszności oba- wiał się mieć w nim przybocznego szpiega. Anglia utrzymywała wprawdzie, iż życze- niem jej jest usunięcie niedostępności kraju tego dla europejczyków, atoli pod nazwą europejczyków pojmowała wyłącznie angli- ków; byłaby ona niewątpliwie dość niezad- woloną, gdyby jej usiłowania pomyślnym skutkiem uwieńczone, otworzyły przystęp do Afganistanu współubiegającej się z nią Rosyji. Teraźniejszy vice-król wspomina o „zupełnie bezinteresownych radach” przez rząd indyjski emirowi udzielonych, oraz o „zbawiennym” wpływie brytańskim, usi- łował także przekonać Szir Alego iż byłoby korzystnem dla tegoż, w sprzeczności z Ros- syją, zawiązać najściślejsze stosunki z Wiel- ką Brytanią. W istocie przecież wpływ an- gielski nie jest zbawienniejszym niż każdy inny, rady angielskie są w najwyższym sto- pniu egoistyczne, a interes emira wymaga raczej zbliżenia się do Rosyji, niż zawiąza- nia bliższych stosunków z Brytanią, która głównie ma na celu zjednoczenie polityczne Afganistanu z państwem Indyjskiem. Wszel- ki zaszczyt przynosi bystrości umysłu emi- ra, iż umiał zamiary te ocenić i nie dał się schwytać na zastawioną mu pułapkę i w ten sposób usunięte zostały zabiegi anglo-indy- skiej polityki subsydjarnej. (D. c. n.)

SYNOWIE SZCZĘŚNEGO.

„W dniu 26 listopada b. r. umarł w Pa- ryżu w 84 roku życia Mieczysław hr. Poto- cki. W stolicy francuzkiej — pisze jeden z dzienników zagranicznych polskich — mie- szkał on od lat wielu i większą część ogrom- nej swej fortuny umieścił w rentach, które według Figara przynosiły mu cztery mi- liony franków rocznie. Olbrzymi ten do- chód zmarły prawie całkowicie wydawał. Część tych rent zapisał synowi swemu Szczęsnemu czy też Mikołajowi Potockie- mu, którego pierwotnym testamentem podob- no wydziedziczył. Mieczysław Potocki był, jak wiadomo, synem Szczęsnego Poto- ckiego, a mężem znanej Delfiny Potockiej, która z takim poświęceniem pielęgnowała Chopina w ostatnich chwilach jego życia.”

Oto jest pośmiertna wzmianka poświęco- na jednemu z synów tyle głośnego w dzie- jach twórcy konfederacyi Targowickiej. Jak wiadomo oligarcha ten ze swej żony Zofii de Celice Scarlato, pięknej Greczynki, wdo- wy po wojskowym Witt, zostawił pięciu synów: Aleksandra, Włodzimierza, Jaro- sława, Mieczysława i Bolesława. Włodzi- mierz Potocki urodzony 1789 r. szlachetnem poświęceniem starał się przejednać sąd hi- storyi. Uformowawszy własnym kosztem w 1809 r. pułk artyleryi konnej, chwaleb- nie odznaczył się przy zdobyciu Sandomie- rza, lecz zmarł przedwcześnie w 1812r. w Kra- kowie, gdzie mu w katedrze Wawelskiej znakomity pomnik dłuta Canowy rodzina postawiła. Resztę braci odznaczało się wielką dziwacznością charakteru, a los nie- mniejsze wyprawiał z nimi igrzyska. Naj-

starszy Aleksander dziedzie Humańszczy- zny i Zofijówki umarł za granicą. Oto co o nim powiada jeden z pamiętników ówce- snych: „Aleksander Potocki wzrósł i mło- dą przepędził w atmosferze rosyjskiego świata, był półkownikiem, odbył kampanię na Kaukazie, przeżył lat wiele w Peters- burgu, w zażyłych stosunkach z znacznymi figurami na dworze. Na początku trzeciej dziesiątki bieżącego wieku podróżował so- bie spokojnie za granicą i odwiedził Wie- deń, gdzie mieszkała jego siostra pani Ki- sielewska ambasadorowa rosyjska, rozłą- czona już z mężem. Z Wiednia wyruszył do Warszawy, lecz w parę miesięcy chory kazał się wywieźć do Prus, a potem do Dre- zna. Tam przywiózł mu jego plenipotent- dwa miliony złotych. Było to nie wiele więcej nad jednoroczny dochód z Humań- szczyzny. Nie jeden zapewne uważałby się za dość bogatego w takich granicach, on zaś miał się szczerze za biednego, nie mo- gąc pojąć jak można żyć za mniej niż za ja- kie sto tysięcy złotych rocznie, na jakie zre- dukowany został ulokowawszy pieniądze swoje w papierach publicznych. To też mi- mo że go wszyscy w kole towarzyskiem ko- chali i poważali, ale wszyscy żartowali so- bie z jego mniemanej biedy.

— „A cóżbym ja o sobie powiedział?” — rzekł raz ks. Eustachy Sapiecha. „Możesz powiedzieć — odrzekł Aleksander — że jesteś biedak jeszcze większy odemnie, tylko masz matkę, która ci z głodu umrzeć nie dozwo- li.” Jedni się na to głośno rozśmiali, dru- dzy się melancholicznie uśmiechnęli, ale pan Aleksander nie uważając na żadne żarciki trzymał się najściślejszej ekonomii, żeby mu nie zabrakło pieniędzy przed terminem wy- płaty kuponów od swoich akcyj i obligacyj. Miał mieszkanie złożone z dwóch pokoi ubogich, jednego sługę ukraińca, stołował się w bardzo skromnej restauracyi, ubierał się podług mody wojskowej. Kołnierzyków na- wet nie nosił, co uwydatniało jego fizyo- gnomię śniadą z greckimi rysy i zadnych sobie zbytków nie pozwalał. Był jednak jeszcze młody i z temperamentem silnie skierowanym ku płci nadobnej. W ciągu dwóch miesięcy w Dreźnie dwa razy się serce jego zapalało; raz do słynnej berliń- skiej aktorki pani Schröder-Devrient wiel- kiej artystki i bardzo pięknej kobiety, dru- gi raz do panny Iz. M. (dziś hr. I. Ł.) pię- kności warszawskiej pod której wejrzeniem najtrwalsze lody w duszach topniały. A je- dnak jednym i drugim razem wewnętrzny ten pożar siłą woli przytłumił, zawsze w tej myśli, że jest biednym i że mu przeto w za- den sposób kochać się niewolno. Przyja- ciele mówili mu „kochasz się w pannie Iz., gonisz za nią, usychasz dla niej, czemuż więc nie żenisz się z nią?” Odpowiadał: „Da- ję wam słowo honoru że gdybym miał jesz- cze Humańszczyznę i gdyby mnie panna Iz. chciała to bym się dziś z nią ożenił, ale brać żonę aby ją skazać na koczownicze ży- cie i być zmuszonym wszystkich jej przyje- mności odmawiać a dzieciom w spadku bie- dę przekazać, to byłoby szaleństwem któ- rego nie popełnię.”

Po wyprobowaniu systematu oszczędno- ści przez rok pierwszy, rachunek ogólny pokazał w końcu, że ze stu tysięcy zo- stało mu przynajmniej osmdziesiąt dochodu, ale zarazem przekonał się że dwadzieścia tysięcy na rok, trochę mniej więcej wy- starczało zupełnie na jego potrzeby bardzo umiarkowane; że zatem poprzestając na ta- kiej aurea mediocritas nie będzie mu źle, a potrafi wiele dobrego świadczyć drugim. Postanowił więc żyć dalej jak zaczął, skro- mnie, oszczędnie odmawiając sobie wszel- kich zbytków a oszczędzoną część dochodu swojego obracając na wsparcie kolegów i jał- mużny dla ubogich, gdziekolwiek mu prze- bywać wypadnie. Temu prawidłu pozostał

wiernym aż do końca życia to jest przez lat blisko czterdzieści. Dobroczynność stała się dla niego większą namiętnością niż wszystkie parady i festyny najświetniejsze, któremi się w młodości przesycił. I tak w Baden-Baden gdzie przez długi ciąg lat przepędzał piękną porę, największą jego przyjemnością była że rano szedł do piekarza zakupywał sto lub więcej świeżych bułeczek, potem chodził po kramikach i wybierał mnóstwo wstążek, fartuszków, chusteczek, małych czepek, materij na sukienki etc. Wszystko to kazał nieść za sobą i wracając do domu dawał znak dzieciom z klasy pracujących, które go już dobrze znały, żeby się u niego zgromadziły. Niebawem też horda dzieciaków oblegała drzwi jego mieszkania a on jak patriarchy między nimi rozdawał dziewczynom kupione dla nich prezenty; chłopcykom po parę sztuk monety a w dodatku dziewczynom i chłopcykom po jednej lub dwie bułeczki na śniadanie. Wykrzyki radosne i podziękowania naiwne w szwabskim dyalekcie całej tej dziatwy, były mu miłsze niż chóry opery w Paryżu lub Dreźnie. Ludność badeńska tak też go pokochała, że dowiedziawszy się o jego śmierci wyprawiła solenne nabożeństwo za jego duszę i wystawiła mu ze składki ogólnych pomniczek między cieniemi lipami ślicznego kąpielowego miasteczka. Równie kochany był i w Dreźnie gdzie ostatnie lata życia spędził w srogich cierpieniach. Dla kolegów, gdziekolwiek ich spotkał był prawdziwą opatrnością; nie czekał żeby się zgłaszali do niego, gdy się dowiedział o rzeczywistej nędzy lub gdy ją odgadł pod porządkiem nieraz ubraniami szedł naprzeciw niej z szczerą ofiarą a lewica jego nie widziała nigdy, podług przepisów ewangelii, co dawała prawica.

Tyle wyczytaliśmy z owego pamiętnika. Co się zaś tyczy jego dotąd żyjącego brata Bolesława, ten był tak różnym od Aleksandra jak dzień od nocy; biały, delikatny jak panienka, rozmiłowany w pięknych fraszkach a mianowicie w różnych częściach ubrania, których miał prawdziwe muzeum u siebie. Pani Schröder-Devrient do której wraz z bratem się zalecał, nigdy uwierzyć nie chciała, żeby to byli dwaj bracia i sądziła że ci którzy to mówią żartują z niej sobie".

Wracając do zmarłego świeżo hrabiego Mieczysława, ten bawił za granicą z fantazyi, dobrowolnie wyrzekłszy się majątku; namawiany aby wrócił do swych włości, odrzekł iż dwóch obiadów jesć nie będzie. Natomiast rzucił się do spekulacji i po kilku latach nowa fortuna przerosła dawniejszą. Tylko że do tej ostatniej magnat przywiązywał się coraz bardziej, stawał się coraz skąpszy i zrobił się typowym milionerem. Funduszami temi kupił sobie olbrzymie dożywotnie pensye i już takowe całkowicie zużywał, wspomagając czasami, ale bardzo rzadko, potrzebujących.

Ożenił się hr. Mieczysław, jak podaje „pilny czytelnik” w Echu—mniej więcej przed pięćdziesięcioma laty z Delfiną Komarówką, słynną z wdzięków rozumu i talentu, następnie uczennicą i przyjaciółką sławnego Chopina. Z Delfiną po krótkim przeciągu czasu rozwiódł się Potocki; w roku zaś 1844 poślubił Emilię Swiejkowską, córkę Kajetana niegdy pułkownika za ks. Warszawskiego, z której urodził się syn Mikołaj czy Szczęsny, gdyż rozmaicie go podają.

Tak skończyli synowie marzącego o tronie Szczęsnego: sit transit gloria mundi!

Sprawa księdza A. Nosalskiego.

Trzeci akt ponurego i tajemniczego dramatu odegrał się w dniu 28 listopada r. b. w sali posiedzeń drugiego departamentu kryminalnego Izby Sądowej warszawskiej.

Pierwszy akt tego dramatu odegrał się w stojącej na uboczu plebanii w Kopciach (gub. siedlecka, powiat węgrowski). Ofiarą była zabita młoda kobieta, a jako sprawcę zbrodni opinia publiczna, podsycona kierunkiem śledztwa, wskazała proboszcza miejscowego—księdza Adama Nosalskiego.

Sama osobistość podsądnego nie przedstawia nic interesującego. Jest to ksiądz młody, stosunkowo dość wykształcony, w przekonaniach religijnych nie fanatyczny, z umysłem skłonny do filozofowania, charakteru lekkiego, usposobienia wesołego, lubiący żyć i używać; typ wcale nie kwalifikujący się na ponurą postać zbrodniarza.

Nadaremnie kusilibyśmy się wyjaśnić bliżej ten ponury dramat, który odegrał się w ścianach ustronnego domostwa, w miesiącu czerwcu 1877 roku; okrywa go szata dziwnej tajemniczości, która odkryje się może dopiero wtedy, gdy skazanego pogrzebią już lodowiska Syberyi.

Jak trudnemi do wyjaśnienia były fakta, spełnionego zabójstwa, dość powiedzieć że rozpatrywanie ich trwało trzy długie dni i wieczory, aż wreszcie zapadł wyrok niewinniający księdza w zarzucie zabójstwa, a skazujący tylko za ukrywanie tego przestępstwa na zesłanie do guberni Irkuckiej, z zamknięciem w więzieniu przez 2 lata i 6 miesięcy i zabronieniem wydalania się z granic rzeczony guberni przez lat 9; matkę jego za toż samo na 2 lata zamknięcia w domu roboczym.

Nie będziemy tu powtarzali długich badań i zeznań. Streścimy tylko w krótkości rezultaty śledztwa. Wykryło ono przedewszystkiem trupa kobiety, wywiezionego z probostwa przez matkę księdza. Oto i wszystko prawie; reszta przedstawia móstwo domniemań, hipotez i t. p. Ku wieczorowi tego samego dnia w którym zginęła tajemniczą śmiercią Natalia, bratowa księdza, z okna plebanii wyskoczył brat księdza Franciszek, pokrwawiony i... w tem miejscu postawić trzeba znak zapytania. W aktach śledztwa pierwiastkowego powiedziane jest, że trzech świadkowie zeznali, jakoby Franciszek miał powiedzieć, że brat do niego strzelał. Tymczasem na posiedzeniu sądowym, jeden tylko z tych świadków utrzymał się przy swoim zeznaniu, inni zaś oświadczyli, że opowiadanie Franciszka miało miejsce dopiero nazajutrz. Ale posłuchajmy tego opowiadania, któremu obrońca zarzuca nieprawdopodobieństwo. Gdy Franciszek wrócił z kancelaryi gminnej, dokąd go wysłał ksiądz, ten ostatni który zawiązywał go umyślnie do siebie, celem wystarania się dlań o posadę, kazał napisać jakieś podanie. Gdy Franciszek nachylił się nad stołem, Adam miał mu zarzucić stryżkę na szyję. Lecz następnie oświadczył, że to jest żart, poczem bracia uściskali się i Franciszek znowu zasiadł do pisania. Po chwili Adam wymierzył do niego pistolet i wołając: „W imię Ojca i Szna i Ducha Św. zegnaj się z życiem!” — wystrzelił i zranił Franciszka. Po tym wybryku, którego nie można już było uważać za żart, ksiądz przeprosił brata, obiecał że go będzie kochał i bracia znowu uściskali się. Lecz na tem się nie skończyło. Wystrzał powtórzył się i Franciszek wyskoczył przez okno.

Oto mniej więcej opowiadanie Franciszka o krwawem zajściu z bratem. Obrońca twierdzi, że jest ono płodem bujnej wyobraźni młodzieńca.

Najbardziej potępiającem na pozór było zeznanie doktora powiatowego W., do którego nazajutrz pojechał ksiądz. Doktor twierdzi, że ksiądz żądał od niego aby mu dał trucizny na brata za rs. 60. O zeznaniu tem powiemy później, streszczając mowę obrońcy adwokata J. M. Kamińskiego.

A matka księdza, która zdawała się być najbliższą tajemnicą? Matka, prosta mieszczanka, zaledwie podpisać się umiejająca, dawała dziwne zeznania, w których widzimy mieszaninę nawet snów z rzeczywistością. Kto był zabójcą Natalii, prawdopodobnie nie wiedziała; przez pierwsze pięć dni była przekonana że zbrodnię tę popełnił Franciszek, lecz następnie, gdy słyszała, że wszyscy oskarżają Adama i ona też poszła za ogólnym prądem.

Faktem jest wiadomym, że Franciszek wyjechał do kancelaryi gminnej i że ksiądz pozostał sam na sam z Natalią, ale nie zostało należycie wyjaśnionem to nader ważne, kiedy mąż zamordowanej powrócił.

Obdukcya sądowa, której dokonano dość późno już na ciele denatki, wykazała że śmierć nastąpiła w skutek uduszenia za pomocą zaciśnięcia wstążeczki czerwonej, którą Natalia miała na szyi.

Od rzeczony wyżej wyroku pierwszej instancyi odwołali się do Izby Sądowej prokurator z protestem, a obrońca z apelacją; pierwszy podtrzymywał oskarżenie w zabójstwie i usiłowaniu bratobójstwa; drugi żądał zupełnego uniewinnienia księdza.

W proteście swym prokurator Sądu Okręgowego siedleckiego stanął na gruncie śledztwa pierwiastkowego, które zdaniem jego znalazło zupełne potwierdzenie w śledztwie sądowym.

Prokurator Izby Sądowej, podtrzymując protest swego kolegi, zreasumował fakty, położył ogromny nacisk na tę, zdaniem jego, nie ulegającą wątpliwości okoliczność, że Franciszek nie miałby czasu, a zatem fizycznej możliwości spełnienia zabójstwa, rozbierał również przyczyny, które, jak on mniema, popełniły do zbrodni księdza, a jako najważniejszą z nich wskazał *chciwość*. Adam musiał ciągle nadsyłać fundusze na utrzymanie brata i jego żony, chciał się ich pozbyć i to go popchnęło do zbrodni.

Obrońca powtórzył wszystkie te wywody które przytoczył w sądzie pierwszej instancyi, dodając nadto wiele nowych uwag i uzupełniając obronę dowodzeniem niewinności ukrywającego zabójstwo. Przedewszystkiem zwrócił uwagę sądu na mylność mniemania prokuratora Sądu Okręgowego siedleckiego, który twierdzi że śledztwo sądowe potwierdziło w zupełności fakta, zapisane w aktach śledztwa pierwiastkowego gdyż jak się okazuje z protokołu posiedzenia, wiele domniemań i pytań na śledztwie sądowym upadło, kilku świadków zaprzeczyło temu, co zapisane było w aktach, twierdząc, że takowych im nie czytano, a ks. M. wprost oświadczył, że pomimo jego protestacyi, zapisywano inaczej niż zeznawał. Dalej, całą swą obronę opierał pan Kamiński na śledztwie sądowym i dowodził co następuje:

1) Zupełny brak przyczyn psychicznych dowodzi, że ksiądz nie mógł popełnić zarzuczonej mu zbrodni, a te które przytacza prokurator (chciwość, wstyd arystokratyczny) sprzeciwiają się faktom rzeczywistym; ksiądz bowiem wspierał stale brata i nie wstydział się matki prostaczki, z którą mieszkał razem.

2) Mniemane przygotowania do zbrodni, wysyłanie służącej do młyna, niegrzeczne przyjęcie gości, okazały się na śledztwie sądowym faktami bardzo naturalnemi. Służąca miała rzeczywisty interes do młyna, a ksiądz nawet zapomniał o tem że ją wysłał, bo gdy nadjechali goście, chciał ich

częstować kawą, a dopiero później, przypomniawszy sobie, że niema służącej, poczęstował ich winem.

3) Zeznanie Franciszka (jakeśmy już to wyżej zaznaczyli) było późniejsze, obmyślane i nieprawdopodobne.

4) Zeznanie matki nie potępia księdza, gdyż początkowo oskarżała Franciszka, a dopiero później zmieniła swe przekonanie pod naciskiem opinii publicznej i działalności śledczych (obiecivano jej zwrot pieniędzy, znalezionych w piecu, jeżeli powie prawdę).

5) Zeznanie doktora W. które jak sam przyznaje, wypisał z akt śledztwa pierwiastkowego i nauczył się na pamięć, zdaniem obrońcy wytworzyło się pod wpływem okoliczności, które później nastąpiły, czego dowodzi przedewszystkiem ten fakt, że doktor nie uważał za potrzebne donieść o księdzu sędziemu śledczemu, który mieszkał naprzeciwko i dopiero później, gdy gruchnęła wieść o zbrodni, spełnionej jakoby przez księdza, w wyobraźni jego rozmowa z księdzem przedstawiła się w ponurem świetle. Ksiądz przedewszystkiem prosił doktora ażeby brata jego zakwalifikował do domu obłąkanych. Gdy doktor oświadczył, iż jest to rzeczą niemożliwą, ksiądz ofiarował doktorowi rs. 60 — mówiąc.

— Róbcie z nim co chcecie, ja muszę go się pozbyć.

Doktorowi zdawało się, że ksiądz chce kupić trucizny za 60 rs. Ale, jak słusznie zauważył obrońca, „tak tanio nie sprzedaje się trucizna.” Prawdopodobnie szło tu o ułatwienie oddania brata do domu obłąkanych. Zresztą w rozdrażnieniu, mając w domu trupa, ksiądz mógł wiele rzeczy robić. Gdyby fakt ten miał miejsce przed wypadkiem, byłby rzeczywiście silną poszlaką, ale po spełnieniu zbrodni, nie ma żadnego znaczenia.

W drugiej części swej obrony adwokat dowodził, że ksiądz nie ukrywał zabójstwa, lecz tylko nie doniósł o ukrywaniu dokonaniem przez matkę i ukrywał pewne niemoralne strony swego postępowania z bratową. Z tych zasad adwokat żądał uniewinnienia swego klienta.

Izba Sądowa uznała księdza Nosalskiego za winnego zabójstwa bratowej, dokonanego w rozdrażnieniu i bez uprzednio powziętego zamiaru, i stosując niski bardzo stopień kary, skazała na osiedlenie w bardziej odległych miejscowościach Syberji; co do matki księdza — wyrok pierwszej instancyi został zatwierdzony.

Podobno obrońca skazanego zamierza podać skargę kasacyjną do Senatu w Petersburgu.

A. Pilecki.

KRONIKA PARYZKA.

Paryż, dnia 1 Grudnia 1878 r.

Henryk Taine wszedł do akademii. Wiwat! krzyczą reakcyoniści. Wiwat! wołają postępowi! Wiwat! Wiwat! powtarzają z ironicznym uśmiechem radykaliści. Zkądże taka zgoda ogólna? Zkąd taki poklask jednomyślny dla człowieka wyraźnych i zdecydowanych zasad, które mogłyby raczej rozdzielić usposobienia partyj, zamiast je łączyć? Zkąd i dlaczego cała prasa jest zachwycona wyborem, który kogośkolwiek przecie nie powinien był zachwycić?.... Zaraz się dowiemy.

Henryk Taine w dalszym ciągu swoich „Les origines de la France contemporaine” wydał, jak wiadomo, dzieło p. t. *Revolucya*, dzieło wielkich przymiotów i większych jeszcze wad, które ujrzało światło dzienne w chwili najzjadlejszej walki politycznych stronnictw. Chwila była zła, bo dzieło

zanim zostało ocenione naukowo, podległo krytyce politycznej. Wiemy aż nadto dobrze z własnego doświadczenia, co to jest ogłosić swoje przekonania naukowe, które potrącają o kwestyę wewnętrzną polityki. *Revolucya* Henryka Taine'a nie tylko potrąca o politykę, ale dla pewnych partyj rozbija ich dotychczasowy ideał. Umysły krańcowe przyzwyczaiły się czerpać swe siły ze źródła wolności jaką im zapewniła *Wielka Rewolucya*, a Taine daleki od politycznych uprzedzeń, mimowolnie dostarczył materiałów dla stronnicej polityki i jak z jednej strony obalając ideał *Revolucyi*, oburzył na siebie krańcowych, tak z drugiej znowu, przedstawiając dzieło *Revolucyi* w ludziach wykonywających je z bezmyślnem rozbewstwiem się instynktów zwierzęcych, stał się przedmiotem zachwyty dla umysłów wstecznych. Jedni i drudzy zniżyli wartość człowieka, widząc w nim historyka o uprzedzeniach politycznych i ocenili go miarą swoich namiętności. Taine, wprowadzając po raz pierwszy do badań historii metodę obserwacji i indukcyi, pomyślał wielkie dzieło; zacieśniając poszukiwania do okrucieństw bezmyślnie zrewoltowanego tłumu, napisał lichą książkę. Jego *Revolucya* nie jest bynajmniej pamfletem politycznym jak ją nazywają krańcowi, ani też dziełem reakcyjnego namysłu, jak przypuszczają wsteczni.

Trzeba nie znać człowieka, aby go pomówić o coś podobnego. Henryk Taine jest dosyć sceptycznym, aby zostać niezależnym i zanadto artystą aby nie być szczerym. Jedyną wadą książki i jedyną winą Taine'a jest niepełność materiałów, jednostronne nagromadzenie wypadków i pospieszność we wnioskowaniu. Zresztą, mamy przed sobą pierwszy tom dopiero o *Revolucyi*. Być może, że po dwu następnych sąd o Tainie, albo lepiej, sąd Taine'a o *Revolucyi* ulegnie zupełnej zmianie.

Bądź co bądź, dzieło o *Revolucyi* zrobiło przykre wrażenie na Paryżanach i jak dotąd niezatarte. Przy każdej sposobności pojawiają się coraz to nowe i coraz złośliwsze uwagi przeciwko wielkiemu filozofowi. Radykalni uważają *Revolucyę* Taine'a za konikę, na którym autor chciał wjechać do akademii, a wsteczniocy za opamiętanie się w radykalnym pochodzie. Jedni i drudzy ubliżają nauce i uczoneму, nie chcąc w nim widzieć konsekwentnego filozofa, który całe życie strawiwszy na wykazywaniu, że każde dzieło sztuki jest rezultatem pewnego wykształcenia w pewnej epoce, sam przez siebie dał dowód współczesny na to, co dotąd dowodził przez historję. Tylko nikczemność polityczna może uczciwą pracę zniżyć do nazwy środka w osiągnięciu zaszczytu takiego naprzykład, jak zostanie członkiem francuskiej akademii.

Nie dosyć jednak tego, że opinia napiętnowała dzieło Taine'a nazwą marnego środka w urzeczywistnieniu chęci zostania akademikiem, ale jeszcze, znając trupi wpływ zbutwiałej instytucyi, cieszy się nadzieją, że znakomity historyk-filozof zasiadłszy w fotelu akademii złoży pióro i przestanie pracować dla nauki. Że tak myślą wsteczniocy, dziwić się im nie można. Jest to ich zwykły sposób działania i myślenia. Ale że tak piszą i myślą postępowi, tego nawet stronnicej politycznej walki rozgrzeszyć się nie godzi.

Prawda, że dzisiejsze życie Francji jest wyjątkowe, że utrwalenie Rzeczypospolitej jako formy rządu, wymaga ofiar z przekonani i ludzi, że w tej walce o swobodę ogółu swoboda jednostek narażoną być może na szwank częstokroć zbyt wielki, w każdym jednak razie ludzie pracujący dla nauki, powinni być uwolnieni od tych ofiar na rzecz politycznego oportunizmu, jako niezgodnego z powagą nauki i jej losami. Do dziś mamy już kilkadziesiąt tomów poświęconych *Re-*

wolucyi, kilkanaście dzieł wielbiących lub kalających rok 89, ale nie mamy dotąd jeszcze *historji* tej krwawej reformacji politycznej i socyalnej. Obok *historji* epicznej Micheleta, doktrynerskiej Thiersa, deklamatorsko-jakóbinistycznej Blanca, *historja* Taine'a stanąć może śmiało, jako równie stronnicza, a więcej naukowa w sposobie badania przeszłości. Niech nam więc będzie wolno, nie rozgrzeszając Taine'a, z lekceważeniem traktować opinię o nim, jako niską i niegodną ludzi cywilizowanych, a wejście Taine'a do akademii, jako wypadek błahy, nie mogący zmienić kierunku w sposobie badań naukowych tego filozofa-historjka, który pomimo nędznych podejrzeń politycznych szczekaczy, nie przestanie być osobistością czystą i jasną w przekonaniu ludzi miłujących naukę w oderwaniu od chwilowych potrzeb.

Dziwna rzecz jak dwa różne społeczeństwa, polskie i francuskie, godzą się na punkcie pojmovania *chwilowych potrzeb* i jednakowe w tym względzie okazują instynkta. Jeżeli jakikolwiek uczony na drodze badań dochodzi do wniosków burzących nasz sposób myślenia w danej chwili, społeczeństwo podnosi krzyk przeciw hipotezom a nawet prawdom naukowym, uważając je za szkodliwe dla *chwilowych potrzeb*. Jeżeli, na odwrót, *chwilowe potrzeby* wymagają radykalnych zmian w teorii, społeczeństwo oponuje się przeciwko zmianom i woli raczej widzieć niedostatki w zadowoleniu tych potrzeb, aniżeli ugodzić w teorię. Henryk Taine zebraniem nowych materiałów do oceny *Revolucyi* oburzył przeciwko sobie większość społeczeństwa francuskiego, ponieważ jego dzieło nie odpowiadało potrzebom chwili. Rząd republikański formując się na nowo we Francji, potrzebuje apologii *Revolucyi* i to dosyć, aby potępić dzieło nauki. Badania statystyczne wykazały niezmiernie powiększenie się ilości nieprawych dzieci, olbrzymi wzrost ich śmiertelności i potworny procent dzieciobójstw, uważając za przyczynę złego i demoralizacyi zniesienie *kół* w domach podrzutków i trwałość artykułu 334 Kodeksu cywilnego, który zabrania dochodzenia ojcowstwa. Dane, jakie zebrali i przedstawili panowie Vacher i Lagneau, powinnyby przekonać i zdecydować każdego człowieka logicznie myślącego. Tak, ale człowiek logicznie myślący i konserwatysta, nie są bynajmniej synonimami.

Kodeks zabrania dochodzenia ojcowstwa. Artykuł 334 uprawnia demoralizacyę.

Znieśmy barbarzyński artykuł Ko deksu, woła p. Vacher, dowodząc że się nietylko pomaga do wzrostu nieprawych urodzeń, ale jeszcze uprawnia śmiertelność pomiędzy dziećmi nieprawymi, które, rzucone na łaskę losu, mrą w stosunku 91 na 100!

Nie znośmy artykułu Kodeksu, wołają konserwatysty, bo zamiast zmniejszenia ilości nieprawych dzieci, rozpoczyna się nadużycia przy dochodzeniu ojcowstwa.

Według raportu złożonego w senacie przez senatora Berengera, pokazało się, że zniesienie *kół* przy szpitalach i domach podrzutków zwiększyło śmiertelność naturalną i ilość dzieciobójstw, nie zmniejszając ilości nieprawych urodzeń. Logika zatem każe przywrócić *kół*. Konserwatysty wołają, zostawmy rzeczy jak są, ponieważ rząd z roku 1829 znosząc *kół*, oparł się na podstawie marzyielskiej obudzenia uczuć rodzinnych w matkach, które mając dzieci przy sobie wychowywałyby je z większą troskliwością aniżeli to się dzieje w szpitalach. Na nic statystyczne liczby, na nic logiczne przekonywania! Dzięki Kodeksowi i dzięki złemu urządzeniu szpitali wraz z małą troskliwością państwa o nieprawie dzieci, liczba ich od roku 1795, to jest od *Revolucyi* wzrosła z 4,000 na 140,000! Dzięki potwornemu procentowi śmiertelności tych dzieci (91%), przyrost

ludności we Francji zmniejsza się w sposób przerażający, konserwatyzm jednak francuzki nie chce pozwolić na radykalne zmiany, które jedynie mogłyby polepszyć stan moralności i przyczynić się do wzrostu ludności.

Projekt senatora Berengera złożony od przeszłego roku w senacie, żąda zmian w Kodeksie i urządzeniu szpitali wraz z przytułkami dla nieprawych dzieci, z taką małą dążą radykalizmu, że nawet tak strupiejące zgromadzenie jak senat francuzki, mogłoby śmiało go przyjąć i zatwierdzić. Projekt sam w sobie jest trwożliwy i nie załatwiający kwestyi od razu, ale w każdym razie jest to projekt, który raz przyjęty, posunąłby rzecz naprzód ku dobremu.

„Miejmy nadzieję — mówi p. Vacher — że dochodzenie ojcostwa, w przypadkach określonych przez p. Berenger, będzie zawołane przez wysoką Izbę; jeżeli projekt będzie odrzucony, to senat tem samem przyzna, że uważa nasze społeczeństwo za zbyt chore, aby mogło wytrzymać ten heroiczny środek lekarski, który stanowi się i moralność Niemiec, Anglii, Stanów Zjednoczonych i tych wszystkich krajów, gdzie dochodzenie ojcostwa jest dozwolone.”

Czy nadzieja pana Vacher zostanie urzeczywistniona, trudno przewidzieć. Zdaje się jednak że nie, bo rzecz jest w rękach uorganizowanych konserwatystów, którzy podobnie jak nasi, w każdej reformie widzą godzenie na zdrowie moralne, chociażby to zdrowie było tak nędzne i szkodliwe, jak to, którem się opiekuje paragraf 334 Kodeksu cywilnego. A. W. S.

KRONIKA Powszechna.

a) Krajowa.

Nauki.—W d. 15 listopada otworzył w swem mieszkaniu, w Petersburgu, Dr. Piasecki wystawę etnograficzną chińską, przedmiotów zebranych w czasie podróży 1874—1875. — W piątym tomie Memoarów Akademii Nauk w Petersburgu znajduje się: „Zur Morphologie der Bacterien”, znakomitego uczonego naszego Cienkowskiego. — Pod Drozdowem, w gub. Łomżyńskiej, znaleziono szkielety mężczyzny z młocyzkami, a kobiet z ozdobami z drutu.

Wiadomości społeczne.—Koncert studencki przyniósł dochodu 3,603 rs. brutto, a 378 rs. 15 kop. wydatków. — W Płocku obraduje komisya obywatelska nad wprowadzeniem kanalizacji. — W czytelnicy p. Jełeskiego w pierwszym roku czytało 672 osób, obecnie 1,044, z czego na naukowe dzieła 256, beletrystyczne 632, dziecinne 156 wypadła. — W Wilnie założoną została kasa wkładowo-zaliczkowa.

Szkoły.—Naczelnik dyrekcji naukowej kaliskiej nakazał nauczycielom szkół elementarnych otworzyć wieczorne kursa nauki języka rosyjskiego dla małżamiedów czyli bełtrów żydowskich, a to za wynagrodzeniem pół rubla miesięcznie. Hojnie! — Nowo otworzyć się mającemu seminarjum nauczycielskiemu w Opatowie oddano zabudowania po-bernardyńskie z kościołem.

Przemysł.—W Warszawie ma być założoną fabryka skóry sztucznej z odpadków skór naturalnych otrzymywanych. — W Piotrkowie p. Wiener zakłada fabrykę pończoch, a p. Teichfeld syropu oraz fajansu. — W Żąbkowicach powstaje wielka fabryka perkali, w Sosnowicach przędzy wełnianej, w Zawierciu papieru tapetowego. — W Kielcach zamieszkał p. Adam Nagórski, inżynier mechanik na Kielce i Radomską gubernię, udzielający fabrykantom niebędącym w możności utrzymywania własnych inżynierów stosownej porady, za wynagrodzeniem. Obowiązkiem też jego jest probowanie kotłów, bez czego nie mogą być puszczane w bieg. — Leśnictwo Garrowin, подарowane Tow. ministra Szamszinowi, nabył od tegoż za 300,000 rs. Ign. Hordliczka na użytek fabryki w Czechach. — W Warszawie założoną została podobno fabryka lasek. — Zakład fabryczny Pawłow, należący do dóbr Hlewiskich, a obejmujący walcownię żelaza, zgorzał. — We wsi Przegaliny, w Łomżyńskiem, założono fabrykę drenów.

Prasa peryodyczna.—*Bluszcz* rozpoczął nowellę Syg. Wiszniowskiego „Światelka w ciemnym kraju”. — *Przyroda i przemysł* „Księżyc i Pogoda”, p. Kowalczyka. — P. Niemiryca, prawnik warszawski, otrzymał koncesyję na codzienne pismo p. t. *Słowo*. — *Wiek* drukuje powieść M. Bałuckiego „Góra na dolinach” obrazek z życia ludu w Tatrach.

Sztuki piękne.—Stypendyum malarskie imienia Simlora wakuje.—Biust Kraszewskiego, mający być rozdany członkom Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, wykonany będzie podług medalionu p. Pruszyńskiego; roboty w metalu podjął się p. Münchheimer.—P. K. Ostrowski, rzeźbiarz, wykończy dwa nagrobki dla prof. Girsztowta i dla s. p. Żukowskiego z Wołynia.—*Uczta Wierzyńska*, nowy obraz p. Abramowicza, przybył na warszawską Wyst. Szt. P.—W komitecie Tow. Zach. Szt. Pięć. poruszono dawny projekt założenia kasy dla artystów malarzy i rzeźbiarzy.

Teatr i muzyka.—P. Chodakowski w roli Renata z „Bal maskowego”, debiutował raz pierwszy.—W. Żeleński wydał „Sonatę na fortepian i skrzypce” (30 kop.)—Do Kalisza zjeżdża na kilkanaście przedstawień trupa poznańska p. Doroszyńskiego.

Zmarli.—A. B. Lehensohn, poeta żydowski w dwóch tomach, dramatu *Prawda i Wiara* i mnóstwa innych wielką popularnością cieszących się, † 20 listop. w Wilnie w 89 roku życia i pracy.

b) Zagraniczna.

Wiadomości społeczne.—Z mocy prawa socyalistycznego wydano 250 zakazów, z tych 145 stowarzyszeń socyalistycznych, 37 gazet, 102 książek zakazano 15 redaktorów odsiaduje karę więzienia, a z tych 6 z redakcyi *Berliner Fr. Presse*. — Dzienniki katolickie skarżą się iż skutkiem kulturkampfu (?) zmniejsza się liczba uczniów zakładów wyższych katolickich; na Akademii Monasterskiej w 1868 r. było 450 akademików i państwo dopłacało do utrzymania zakładu 6,750 m., teraz jest 207 i państwo dopłaca 102,439 marek. — Zbierane od pięciu lat z corocznych wieczorków akademickich fundusze na pomnik Mickiewicza wynoszą dotąd 1,548 zlr., gdy tymczasem w rok zebrano pigię razy tyle na pomnik wawelski dla Piusa IX. To charakterystyczne! — W Czarnogórze od 1876 r. zamknięte były szkoły i teraz dopiero otwarto 20 elementarnych, oraz instytut panien na 30 dziewcząt.—Na biskupstwo krakowskie namiestnik przedstawił cesarzowi do wyboru prałatów Dunajewskiego, Bobra i Palezara — lecz żaden kandydat nie zyskał uznania. — W Poznaniu do rady miejskiej wybrano 6 polaków: pp. Dr. Buskiego, Jażdżewskiego, Kamińskiego, Mądrego, Rakowskiego i Szymańskiego. Liczba tak znaczna oddawna niepamiętna. — Towarzystwo politechników w Monachium (polskie) liczyło 8 członków zwyczajnych, 17 honorowych; biblioteka posiadała 471 tomów, odbierano 5 czasopism (2 z Warszawy). — Na zebraniu akademików polaków w Berlinie 23 listop. p. Kozłowski czytał „Kilka słów o Wystawie Paryżkiej”. — W Bolonii zamknięto wszystkie lokale stowarzyszenia Bersantti.—W Tow. przemysłowców w Poznaniu mówili pan Szymański „O socyalizmie”, p. Połomski „O królowej Bonie”. — Nauka w szkołach algerskich uczyniona została bezpłatną.

Przemysł.—Słynne zakłady Boersiga w Berlinie zagrożone są zamknięciem z powodu stagnacyi, gdyż roczny ich obrót wynosi tylko 450,000 marek. — Przędzalnie w dystrykcie Oldham zamknięte skutkiem streiku robotników, otwarto na nowo.

Bibliografia i wiadomości literackie.—*Przybłędy*, przekład powieści ukraińskiej Iwana Nieczui. (Poznań). — *O ważności matych cnót*, przez ojca Robert. (Kraków). — *Daleka podróż*, rzecz ułożona przez ks. B. Dziegieckiego. (Gniezno). — *Kupiec i przemysłowiec*, p. Rakowicza. (Toruń). — *Wieczory*, Ezechiela Beżewiczego. (Lwów, u Bezy). — Miesięcznik ochrony zwierząt po śmierci redaktora Janoty będzie dalej wychodził.—*Oskara Peschla O epoce wielkich odkryć geograficznych*. (Lwów, Księgarnia Polska). — Magistrat poznański zamierza wydać przekład z Józefa Łukaszczyka *Obraz miasta Poznania* na język niemiecki, dokonany przez Ludwika Königka. — *Żupański* w Poznaniu drukuje przekład barona Manteuffla *O Inflantach polskich*, z przedmową Kraszewskiego. — *Ótwarto prenumeratę na komplet pism Siemieńskiego*. — Wyjść mają dwa podręczniki do nauki historii polskiej pp. Szajskiego i Bobyńskiego. — *Matka artysty*, powieść, p. Annę Milewską. (Poznań). — *Biblioteki historycznej* zeszyt 139 obejmuje: „Dzieje Polski”, Ropla, w przekładzie D. Ra K. Przyborowskiego. (Lwów). — P. Wiktor z Baworowa (Bawarowski) przełożył czterdzieści pieśni Byronowskiego Don Juana.

Prasa peryodyczna. — Nr. 22 *Przeglądu Lwowskiego* zawiera: „Wielka księga”, powieść Sewera i dalsze ciągi. — Poznańskie Tow. Nauczycieli postanowiło od Nowego Roku wydawać *Poznańską Gazetę Szkolną*.

Sztuki piękne.—Juliusz Kosak pracuje nad albumem pamiątkowym rodziny Fredrów, poczynając od Dobiesława Mierzba Wielkiego marszałka koronnego (?) za Kazimierza W. aż do Aleksandra Fredry.—Na wystawie Tow. Krak. znajdują się: Ant. Kozakiewiczza *Droga do lasu*, J. Mayburgera *Klasztor Norberg*, A. Müllera *Prawdziwa plaga*, St. Tandosa *Portret niewiasty*.

Teatr i muzyka.—W Krakowie ma być urządzony koncert na rzecz rodziny po St. Moniuszce.—W Krakowie grać mają Sardou *Mieszczanie na prowincyi*. — Henryk Wieniawski dał koncert w Poznaniu. — Goldmarka opera *Krolowa Saba*, z powodzeniem śpiewaną była w Turynie. — W wiedeńskim Ringtheater grają operetkę *Król Heronim*. — Na scenie poznańskiej 28 listopada przedstawiono dramat p. Wl.

Okońskiego (Al. Świętochowskiego) *Piękna*, przez artystów trupy p. Doroszyńskiego.

Zmarli. — Dr. Eugeniusz v. Gorup Besanez, prof. i autor, chemik, † 25 list. w Erlangen. — Kazimierz Paszkowski, b. członek redakcyi *Kuryera Wileńskiego*, † w Pskowie 11 listop.—Robert Wallis, znakomity rysownik, † w Brighton. — Emil Brachvogel, dramaturg i pisarz niemiecki, † 28 list. w Berlinie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Epoka przejścia pełna ciemności i wahań mija w chwili, kiedy przychodzi nam zdawać sprawę z politycznych wypadków ubiegłego tygodnia. Fakta przemówiły, lecz jakie będą miały dalsze znaczenie, dziś jeszcze trudno określić. Szybkie postępy anglików w Afganistanie zdawały się ulegać zwłocze, a ich pierwotne powodzenia przeplatać kłeską, tymczasem telegram donosi o wielkiem zwycięztwie oddziału generała Roberta, o zdobyciu Peiwera i Kotulu. Wyjaśniło się również położenie w Konstantynopolu przez dymisyję starego, mianowanie nowego gabinetu, do którego wszedł Cheiredin jako wielki wezyr, Osman jako minister wojny, Karatheodory spraw zagranicznych. — Zdaje się że jest to ministeryum powołane do przeprowadzenia ugody z Rosyją i Austryją, aby choć tymczasowo wyswobodzić Turcyę i Anglię z groźby wojny na wiosnę. Również zdają się lepszy obrot przybierać sprawy w Austryi; p. Tisza po trzeciej czy czwartej mowie nareszcie przekonał nadziarów, że nikt lepiej nad niego nie ułoży gabinetu, który już w sobotę ma być przedstawiony cesarzowi do zatwierdzenia. Również i hr. Andrassy ma wszelkie widoki uzyskania zatwierdzenia swej polityki w plenum delegacyi, gdyż zażądaniem głosować będzie 20 członków izby panów, 7 polaków, 3 stronictwa prawicy i 8 wiernokonstytucyjnych. — W Berlinie wielkie uroczystości z powodu przybycia cesarza, w skutku których usunięto wydatniejsze osobistości o socyalizm pomawiane; udały się one do Hamburga, z kądem odpłynęły do Ameryki.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

W oczekiwaniu ważnych wypadków ostatnich dni tygodnia, giełdy przyjęły postawę wycieczkującą, ograniczając obroty do minimalnych rozmiarów. Fluktuacje kursowe nie były znaczne, przynajmniej o tyle, o ile dotyczą kursu rubla. Wrażenie angielskiej mowy tronowej musiało być bardzo pokojowe, skoro giełda londyńska przyjęła je z pokaźną zwykłą kursową. Nie mamy do tej chwili piątkowej depeszy berlińskiej, która powinna donieść o poprawie rubla, jakiej się tutaj w Warszawie z całą pewnością spodziewają. Tymczasem pieniądze zagraniczne stoją na tym samym poziomie, na jakim znajdowały się pod koniec zeszłego tygodnia. Marka 50½ kop., gulden 88¼, frank 41 kop., a półimperyal rs. 8 kop. 40.

Papiery publiczne niezmiennie prawie wykazują notowania przy interesie ograniczonym. Listy zastawne nowe 99.50 w dużych sztukach; małe 10 kopiek taniej. Listy likwidacyjne 88.35 w dużych sztukach. Listy zastawne m. Warszawy I i II seryj 94.60, III 94 rs. Pożyczki premiiowe 237 i 232. Pożyczka wschodnia II em. 91.35.

Usposobienie targu zbożowego słabe przy małych dowozach. Pogoda bardzo zła. Płacono za pszenicę 6.30 w gatunkach ordynarnych, wyborowa 7.80, średnia 6.60, żyto 4.35, owies 3, gryka 4.10.

DO WSZYSTKICH.

— P. Bolesławowi Starościńskiemu. Co ma pocieśność pisma do staranności jego redakcyi? Gdyby do powodzenia potrzeba było tylko pocieśności... to znalazłoby się więcej pism pocieśnych w wyższym od *Biesiady* stopniu. Co do nas, nie nasładując nigdy tego rodzaju pocieśności, zasadzającej się na potakowaniu uprzedzeniem ogólnym i popisywaniu się frazesami, nie popadniemy również w apostazję, ale zatrzymamy zawsze niezależność zdania, choćby się to p. Starościńskiemu nie podobać miało.